Nr. 35. Warszawa, dnia 15 (27) Sierpnia 1898 r. Rok XVIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy kwartalnie rs 2 kop. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

BISMARCK.

IV.

Niemcy nie oglądają się wcale na liberalizm; patrzą na potęgę Prus. Prusy powinny zbierać swe siły, ażeby stanąć zbrojnie w chwili stanowczej, którą nieraz już pominięto. Nie mowami i uchwałami większości, jak było w zwyczaju w latach 1848 i 9, rozstrzyga się wielkie kwestye czasu, ale *żelazem i krwią*“ — powiedział wówczas Bismarck w komisyi budżetowej Izby deputowanych. Do żelaza i ognia przybyła tedy krew: całość układała się w działanie gwałtowne, w zabory i wojnę. Z posiewu tych słów wyrastał cały program. Ani sejm przecież, ani Austrya nie dostrzegły głębi myśli politycznej Bismarcka; uważano go ciągle za pobrzękującego junkra, za polityka robiącego ogień ze słomy. D. 7 października Izba wydała uchwałę stwierdzającą swe prawa konstytucyjne i nietykalność budżetu; nazajutrz Bismarck był już prawidłowym prezesem ministrów. Gdy Izba wyższa, trzymając z rządem, odrzuciła budżet na r. 1862, obcięty przez niższą, człowiek posiadający nieograniczone zaufanie nie zawahał się odprawić posłów do domów: pozostał sam ze swym programem, a bez budżetu, i rządził, nie dbając o konstytucyę.

Nie mógł wszakże nie zwołać sejmu w terminie przez konstytucyę wyznaczonym: zwołał, i tu znowu d. 27 stycznia 1863 r. podczas rozpraw nad adresem powiedzieć miał słynne swoje *Macht geht vor Recht* (siła przed prawem). Ogłoszone dotychczas protokóły stale podają następujące brzmienie (Hahn „Fürst Bismarck,“ I 90): „Jeżeli pojednanie dlatego spełznie, że jedna ze stron wpływających do sprawy zechce pogląd swój przeprowadzić z absolutyzmem doktrynerstwa, to kończą się próby pojednawcze i na ich miejsce przychodzą starcia; ponieważ zaś życie państwa ani na chwilę ustać nie może, przeto w starciu takiem zadanie całe sprowadza się zawsze do siły. Kto ma siłę w ręku, ten rusza naprzód, tak jak mu się to najodpowiedniejszem wydaje, życie państwowe bowiem nie może ani na chwilę ustać“ — powtórzył. Tego samego dnia jeszcze, już po wyjściu Bismarcka z sali, dep. Schwerin podniósł się przeciwko usłyszanym jakoby z ust jego słowom: „Macht geht vor Recht.“ Bismarck powrócił do sali i oświadczył, że nie przypomina sobie, czy coś podobnego powiedział, i powtórzył powyższe brzmienie urzędowo przyjęte. To „nieprzypominanie sobie“ jest tem bardziej podejrzanem, że jeszcze we dwa dni później Gneist nazwał oświadczenie Bismarcka w tych lub w innych słowach manifestem absolutyzmu, a żelazny kanclerz do ostatnich chwil swego zawodu nie pozwalał w stenograficznem sprawozdaniu wydrukować czegokolwiekbądź bez własnej korekty; mógł zatem dowolnie fałszować.

I Niemcy i Prusacy ówcześni niepodobni byli do dzisiejszych: polityka Bismarcka, zmierzająca do wyrzucenia Austryi ze związku, dopóki sam ten związek jako zło konieczne istnieć musiał, była również niepopularną, jak zachowanie się w sprawach międzynarodowych, pierwszorzędnego znaczenia. Bismarcka gniewał ogólno-człowieczy, humanitarny podkład pod Niemcem, a nawet pod Prusakiem. W przekonaniu jego ten, kto nie żyje wyłącznie dla siebie i sobą, kto prócz celów, myśli i aktów woli egotycznych w polityce doznaje jeszcze jakichkolwiek drgnień solidarności ludzkiej, solidarności idei, która nie może być ani pruską, ani francuską, ani austryacką, bo jest z treści swojej powszechną — ten do niczego nigdy nie dojdzie. Czułostkowość jest tym chwastem, który przedewszystkiem ze zdrowej, z niezakwaszonej niwy czynów politycznych wyrywać potrzeba. Dnia 26 lutego 1863 r. już nie samej tylko Izbie deputowanych, ale całemu narodowi niemieckiemu dostało się następujące napomnienie: „Skłonność do sympatyi, z krzywdą nawet własnej ojczyzny, jest tą postacią chorobliwości politycznej, której geograficzne rozpostarcie, niestety, ogranicza się na samych tylko Niemcach.“ Odrazu chciał samego siebie, zarazek swój, wszczepić w swój naród i gdy się Niemcy przedbismarkowskie z dzisiejszemi porówna, trudno nie przyznać, że mu się to szczepienie udało.

Do spełnienia pierwszego punktu programu: wyrzucenia Austryi z Niemiec, dopomogła Dania przez zupełne zniesienie wbrew protokółowi londyńskiemu z roku 1852 w Szlezwigu tych praw odrębności, jakie dlań zastrzeżono. Śmierć Fryderyka VII d. 15 listopada 1863 r. pozwoliła skrystalizować się kwestyi szlezwidzko-holsztyńskiej. Sprawę następstwa tronu w Szlezwigu, sporną pomiędzy ks. augustenburskim a królem duńskim, Bismarck postanowił rozwiązać według zasady: gdzie się dwóch kłóci, tam trzeci korzysta. Szlezwig dopominał się Augustenburga. Bundestag nakazał egzekucyę, Bismarck jej nie chciał. Austrya, otrzymawszy w sierpniu 1863 r. od Prus straszliwy policzek przez niestawienie się ich na kongres panujących niemieckich w Frankfurcie n. M. i wrześniową (15 b. m.) propozycyę Bismarcka, wskazującą urządzenie na zasadzie praw całego ludu niemieckiego — Austrya, nienauczona doświadczeniem, przystała na wspólną egzekucyę, nie z mocy uchwały bundestagowej jednak, ale z tytułu praw państwa podpisanego na protokóle. Wydano wojnę; w kwietniu 1864 Dania była już pobitą, d. 30

października stanął w Wiedniu traktat. Zapędy Anglii i Francyi udaremniła niezgoda. Obie prowincye były już oderwane od Danii, ale jeszcze nieprzyłączone do Prus. Spory z Augustenburgiem wikłało nieporozumienie z Austryą. Usunął je traktat w Gasteinie z d. 14 sierpnia 1865: Szlezwig zajmą Austryacy, Holsztyn Prusacy, Ks. Lauenburskie za półtrzecia miliona talarów duńskich dostanie się Prusom. Za wojnę i za ten podział Wilhelm V mianował Bismarcka hrabią.

Łudzenie Napoleona niewinnością swych zamysłów, rozbudzanie w nim pożądliwości, któraby jego własną do pewnego stopnia równoważyła, wchodziło stale w program polityki bismarkowskiej. Zaraz po traktacie wiedeńskim z Danią pojechał do Paryża, a toż samo uczynił po układzie z Austryą. Napoleonowi migotała ciągle przed oczyma Belgia, Luksemburg, nawet Palatynat: nie był tak ślepym, żeby nie widzieć zjednoczenia niemieckiego jako ostatecznego celu działania, ale był dość lekkomyślnym, aby w osiągnięciu tego celu nie widzieć groźby dla Francyi. Bismarck, zanim zerwał z Austryą, zapewnił sobie wprzód neutralność Napoleona, a sposób, w jaki tego dokazał, kiedyś, gdy wszystkie dokumenta na jaw wyjdą, wytworzy jeden z najciekawszych w dziejach momentów psychologicznych, moment chwiejnego niedołęztwa, obrabianego przez jędrną, świadomą siebie siłę. Stosunek wytworzony w Gasteinie dla Bismarcka miał znaczenie połapki, w którą Austrya dobrowolnie weszła: nie skorzystać z tego byłoby grzechem. I skorzystał: d. 8 kwietnia 1866 r. za pośrednictwem Govonego zawarł tajemne przymierze zaczepno-odporne z Włochami; nazajutrz wniósł w Bundestagu nowe urządzenie związku z odjęciem Austryi prymatu; d. 10 czerwca, w przeddzień wojny, złożył projekt nowej konstytucyi związkowej; jednocześnie zwalił odpowiedzialność za wypadki na Austryę, a kryjomo układał się z Klapką o legiony: Bismarck i Klapka we wspólnej sprawie! Zagorzały wróg prądów nowoczesnych z lat 1845—50, teraz rządził się zasadą, że i rewolucya jest siłą, trzeba tylko ją umieć wyzyskać. Gdy wreszcie Austrya, przeceniając swe siły, wniosła w Bundestagu uruchomienie korpusu nie-pruskiego przeciwko Prusom, d. 14 czerwca 1866 r. Bismarck wyrwał Prusy ze związku bundestagowego. Wojna potrzebowała tylko wypowiedzenia.

Tydzień polityczny. Amerykanie zaczynają już wymieniać tę jedną z wysp Filipińskich, którą pragnęliby posiąść: jest nią największa, Luzon, mająca $^1/_3$ obszerności całego archipelagu. Co też powie na taki wybór Europa, która wszystkie te wyspy przeznaczała dla siebie?

Pomiędzy Anglią a Rosyą spór o kolej na Niuczuang, na północo-wschód Pekinu, zaczyna się zalagadzać. Nowy poseł w Petersburgu, Scott, otrzymał podobne przyrzeczenie czegoś w innej stronie, ale także w Chinach.

Wice-królem Indyj zostaje p. Curzon, parlamentarny sekretarz rządu w sprawach zagranicznych; ma on za sobą przeszłość, jako autor polityczny wybitniejszą, niż jako czynny polityk; w każdym razie jest zdolnym, a przy zdolnościach ma jasną głowę.

Powodzenie Amerykanów na morzu, rodzaj walk, szybkość zniszczeń — nie dają spać Europie. Francya przenosi pancerniki gorsze na m. Śródziemne, lepsze bierze do Kanału i Brestu; buduje nowe; dodaje pomniejszych bez liku, zmienia działa i na to wszystko ma już 260 mil. fr. uchwalone dawniej. Włochy są troskane: muszą flotą dorównać najpotężniejszym, gdy jednocześnie dorównywają długami najbardziej obdłużonym. Anglia od czasu mowy Goschena ma już plan gotowy, ale wojna niewątpliwie nań wpłynęła. Same St. Zjedn., stając się wielkiem mocarstwem, muszą mieć i wielką flotę; 50 mil. dol. dotychczasowych to tylko początek nakładów.

Ces. Wilhelm w Moguncyi d. 20 b. m. miał mowę o jedności niemieckiej, o państwie narodowem, o starożytnym Rzymie, o wojnie 1870 r. i o innych rzeczach. Nacisk na państwo narodowe to hasło dla hakatyzmu. Z pamiętników Bismarcka wykluwa się zwolna kwestya polityczna.

Od 23-go radzą ministrowie austryaccy z węgierskimi w Peszcie nad ugodą. W niedzielę mają zdać sprawę cesarzowi w Ischl.

Z odwiedzin ks. Ferdynanda w Cetiniu dzienniki budują już i przymierze i wojnę: Czarnogórcy mają na dany znak zająć sandżak nowo-bazarski.



ŻYCIE SPOŁECZNE.

KLĘSKA SEZONOWA.



Od lat wielu co rok się powtarza stale jedno zjawisko: w pogodne, najbardziej robocze dni letnie chmury dymu zasnuwają widnokrąg wiejski; po nocach rozświetla go łuna światłem smutnem i groźnem. To płoną wsie, osady i miasteczka. Płoną domy mieszkalne, obory, chlewy, stodoły i śpichrze napełnione i wogóle wszelkie zabudowania gospodarskie. Palą się nie domy pojedyncze, lecz całe ulice wiejskie, całe dzielnice osad i miasteczek. W roku bieżącym klęska ta spadła na ludność wielotysięczną obficiej i straszniej, niż kiedykolwiek. Korespondencye i depesze zarówno z Cesarstwa jak i Królestwa Polskiego nieustannie obwieszczają czytelnikom coraz nowe nieszczęścia. Już dziś tysiące ludzi do szczętu zrujnowanych materyalnie, obarczyły społeczeństwo wielkim ciężarem. Niedawno dostatni, zasobni gospodarze rolni lub rzemieślnicy stali się nędzarzami bez dachu, chleba i zarobku, a więc przybyły nowe rzesze nędzarzy, oglądających się na miłosierdzie społeczne. Nasza statystyka sucha, niedokładna, nieprawdopodobna lub często nawet zupełnie mylna, lubująca się w przeciętności, nie posiada tyle środków i tak dobrej organizacyi, ażeby mogła obliczyć w sumie określonej tę klęskę zubożenia kraju o n sił produkcyjnych i $n+x$ środków bytu i rozwoju materyalnego. Wrażenie ogólne tylko i fakty liczne każą nam twierdzić, że straty te są olbrzymie, które się

Janina Baudouin de Courtenay.

ISMAEL

(Kontur psychologiczny).

Przepraszam cię, mateczko, lecz pomijając karty biblijne, zakrwawione od dołu do góry dziełami zemsty i zdrady, zacytuję ci tylko Fenicyan i Kartagińczyków, ludy właśnie spokojne i handlowe, co umierały z orężem za wolność swoją...

— A Jerozolima?

— Tu już poruszasz inną kwestyę: fanatyzmu ich religijnego. Tę siłę złowrogą, straszną, kamieniście niewzruszoną ciemnych mas, o którą wszystkie chrześciańskie humanitarne zasady rozbijają się jak o mur nieprzebity i która oddziela ich od wszystkich ludów, świadomie czy nieświadomie dążących do ideału Chrystusowego... Czemby oni być mogli, gdyby z taką wytrwałością olbrzymią i taką namiętnością uwierzyli byli w Chrystusa i zrozumieli naukę jego!

— Albo, przynajmniej, jakimiby oni być mogli, gdybyśmy obchodzili się z nimi wedle przykazań Chrystusa, powiedz raczej! Ale czemuż my sami nie hołdujemy tak fanatycznie temu boskiemu Galilejczykowi, który z ich łona wystąpił, jak oni swemu ponuremu, mściwemu Jehowie? Czy myślisz, że i w takim razie pozostawaliby oni wiernymi grzechom „rasy“ i fanatycznej swej nienawiści dla nas i dla naszego mistrza — Boga?

— Ja „nas“ nie bronię, najdroższa... Prawda, że często postępujemy z nimi nieludzko, w najlepszym zaś razie z pogardliwą biernością prostych widzów niesmacznego dramatu. Tłomaczę tylko poniekąd, skąd wstręt się mógł wytworzyć między jednym ludem Starego, a tak licznymi ludami Nowego Testamentu? Nie chcę tylko przeoczać znaczenia typu rasowego, dziedziczności i odrębności, przechowywanej, pielęgnowanej fanatycznie, jak owi mury świątyni jeruzalemskiej, a odpychającej tak skutecznie nasze grzeszne może, lecz tak bardzo odrębne dusze!..

— Nie! nie! stokroć nie, nieprawda! Rasa ich, dziedziczność — to właśnie mrzonki pseudo-naukowe, fantazye pozytywistyczne! Za długo korzyliśmy się przed ich autorytetem, czas wreszcie zrzucić z siebie ich jarzmo i przekonać się oczywiście, że warunki życia i wychowania są stokroć ważniejszym czynnikiem. Tyle przykładów z życia świadczy o tem.

— Tyle przykładów? Rozmaite co do tego są zdania. Najbardziej z nich rozpowszechnionem jest to, że całkiem asymilowany pozornie Żyd — w początku, środku, czy też końcu swej karyery zdradzi jednak z pewnością swe pochodzenie... Zresztą wyjątki wszędzie się zdarzają. Ja mówię tylko o masie dominującej. Wspomniałaś, mateczko, o przykładach. Jednak ciekawy jestem, czy mogłabyś mi przytoczyć choć jedyny — lecz przyjmę tylko taki, któryby był wynikiem twej bezpośredniej i stałej obserwacyi...

— Wiesz mi — zawołała matka, zrywając się nagle z miejsca z gwałtownem drżeniem w głosie i na całem ciele — że mam, mam przykład, którego wymagasz!..

— A więc dobrze, mateczko, serdecznie rad jestem z tego. Tylko dlaczego znowu tak się tem przejmujesz? — dodałem, całując jej ręce. Uważam, że sprzeczka nasza za mocno cię porusza. Lepiej więc jej zaprzestać. Jeśli chcesz, przytocz mi na ostatek swój rozstrzygający przykład, a umilknę pokorny i zwyciężony. Masz w ręku oręż.

Widząc zdenerwowanie matki, próbowałem w ten sposób urwać spór niespodzianie przedłużony. Przypuszczałem, że matka wymieni mi jakieś nazwisko, miejsce i czas, ja się niby „przekonam“ i zaczniemy rozmawiać o czem innem. Spojrzałem więc wyczekująco w jej oczy i — z najwyższem przykrem zdziwieniem szybko spuściłem w dół swoje.

nie dadzą przez długi czas niczem pokryć i powetować. Tłumy pogorzelców żebrzą i płaczą; ich żony i dzieci, obozując na otwartem powietrzu, głodne i wystraszone — chorują; korespondenci i naoczni świadkowie wylewają czcze skargi, wszelkie miejscowe organy porządku i administracyi stwierdzają fakty klęski, ale nikt nie przedsiębierze takich środków w czynie, które mogłyby przynajmniej złagodzić tę stałą klęskę.

Przed paru laty po kilku czy kilkunastu strasznych pożarach, które w popioły i gruzy zamieniły wsie i miasta, opracowano ustawę budowlaną i miała ona stać się obowiązującą we wszelkich mniejszych i większych siedliskach ludzkich na prowincyi. Następnie ogłoszono normalną ustawę ochotniczych straży ogniowych. Oba zarządzenia miały stworzyć radykalne środki obrony przed klęską ogniową i oba dotychczas nie dały żadnego znaku życia. Głównem dążeniem przepisów budowlanych było ścisłe przestrzeganie, ażeby po wsiach, miasteczkach i osadach na przyszłość nie wznoszono domów mieszkalnych i wszelkich innych budowli zbyt gęsto; ażeby różne składy, śpichrze, stodoły i wogóle wszelkie budynki, przeznaczone do przechowywania materyałów łatwo palnych, stały zdala od mieszkań ludzkich; ażeby dachów nie kryto słomą, kominy zaś i piece murowano w sposób ściśle przepisany, zgodny z warunkami bezpieczeństwa. Nie powtarzamy dosłownie paragrafów, lecz główną treść i cele przepisów, które nam głęboko utkwiły w pamięci. Gdyby je zastosowano ściśle w praktyce, inaczejby dziś już wyglądały osady, wsie i miasteczka, odbudowane po pożarach. Domy mieszkalne byłyby otoczone drzewami, tamującemi rozwój ognia, kryte gąta lub innym materyałem, niezbyt łatwo palnym, kominy wysokie, starannie czyszczone, ulice szerokie, przestronne, wszelkie budowle i schówki niemieszkalne daleko, słowem taki rozkład zagród, który pozwoliłby stłumić lub przerwać klęskę. Była tedy przynajmniej ta pociecha i rękojmia, że w razie zagłady mniejszych lub większych siedlisk ludzkich, powstaną nowe, bezpieczniejsze, wzniesione podług przepisów budowlanych.

Niejednokrotnie przejeżdżając przez takie wsie, osady i miasteczka spalone do szczętu, przyglądaliśmy się uważnie, o ile ta idea, ujęta w szaty przepisów, wcieliła się w życie i oto, co ujrzeliśmy: domy nowe, kryte słomą, podwórka ciasne, chlewy, stodoły, składy wszelkie tuż przy sobie, ulice wązkie, stogi siana, sterty zboża tuż przy samych domach mieszkalnych, a nadto szczątki starych budynków nie zniszczone, domy nowe przy ruderach opuszczonych; słowem, wszystko jak dawniej, najmniejszego cienia tej idei wcielonej w przepisy, lecz nie wniesionej do życia; najmniejszej troski o bezpieczeństwo. Zdawałoby się, że przynajmniej czuwa stale jakieś oko ludzkie nad bezpieczeństwem zagród. Otóż podczas gorączkowych robót polnych widzieliśmy takie wsie i osady, jakby wymarłe lub uśpione. Gdzieniegdzie tylko czasem gromadka dziatwy, pozostawionej bez opieki na ulicy, lub starzec zniedołężniały, drzemiący na słońcu pod ścianą. Na nowych domach, jak dawniej, namalowane są beczki, topory, drabiny itd., to jest te wszelkie narzędzia ratunkowe, których w razie pożaru mają dostarczyć gospodarze. Poszukajmy jednak tych narzędzi, a przekonamy się, że, jak dawniej, beczki są porozsychane, cieknące, drabiny popsute, a wiele innych narzędzi, figurujących na rysunku, nie istnieje wcale w rzeczywistości. Skoro jednak są takie narzędzia, a przynajmniej podobizny ich na ścianach, stwierdzają one tem samem istnienie jakichś organizacyj ratunkowych wiejskich, tj. że każdy dorosły i zdrowy mieszkaniec wsi jest członkiem straży. Pożary wszakże dowiodły, że ludność wiejska nietylko nie umie ratować swoich domów, ale często nawet stwarza zamieszanie, ułatwiające rozwój klęski.

Pomimo tak strasznej plagi, ogarniającej co rok kraj cały, jak widzimy, nie skorzystano dotychczas ani z przepisów budowlanych ochronnych, ani z ustawy normalnej ochotniczych straży ogniowych wiejskich. Ustawa ta daje organizacyom wielkie ułatwienia. Pozwala nabywać tanio, a nawet na kredyt wszelkie narzędzia ratunkowe, zbierać i przyjmować ofiary pieniężne, ściągać składki, wyjednywać zapomogi, utrzymywać majstrów budowlanych, przyjmować roboty budowlane itd. Ustawę tę wydano dla Cesarstwa; ale ponieważ jest ona normalną, więc z małemi zmianami, stosownie do warunków miejscowych, dałaby się bardzo łatwo wprowadzić i w Królestwie Polskiem. Dotąd jednak nikt o tem nie pomyślał, nikt nie przemówił w tej sprawie podczas obrad w żadnej instytucyi, czuwającej nad dobrem społecznem i ekonomicznem ludności kraju. Co gorsza — nawet dziś, pomimo że klęska jest *na czasie*, nikomu ta sprawa do głowy i serca nie przyjdzie. Ponieważ kwestya ta dotyczy mieszkańców wsi, więc najwłaściwiej byłoby przekazać ją sekcyi rolnej; przez takie bowiem ognisko,ześrodkowujące sprawy danej grupy ludności, wniosek najłatwiej może przejść, według wszelkich prawideł, wszystkie fazy teoryi i wrosnąć w życie pod postacią czynu. Ustawę ochotniczych straży wiejskich i ochronne przepisy budowlane należy połączyć w jedną sprawę i o przeprowadzenie jej starać się jednocześnie.

Ale ani nowe przepisy budowlane, ani rozwój ochotniczych straży wiejskich jeszcze nie usunie klęski w całej rozciągłości. Wogóle we wszelkich niedomaganiach, obok środków ratunkowych potrze-

---

Twarz jej zmieniła się ogromnie. Biło z niej tak wielkie zmieszanie i przestrach nawet, takim wstydem, zdawało się, spłonęły jej policzki, że sam zmieszałem się nad wyraz wszelki, nie wiedząc, co mam począć...

Usiłowałem niezręcznie zmienić przedmiot rozmowy i milkłem, tracąc jej wątek. Wyraz mej twarzy nie mógł jej uspokoić i równowagę jej wrócić, a w głowie mej zawirowały tymczasem w szalonym pędzie najdziwaczniejsze domysły. Przekonany, żem stanął wobec tajemnicy, poruszającej, jak się zdawało, najgłębsze i najdrażliwsze uczucia mej matki, puściłem wodze zbudzonej wyobraźni mojej. Przypomniałem sobie gwałtowne jej wzruszenie z lat mych dziecinnych, gdy mi surowo zakazała źle mówić o Żydach, zestawiłem to ze sceną dzisiejszą — i oto w mózgu moim niby koło jakieś puszczone nagle w obrót — zawirowało coraz gwałtowniej, szybciej, pędząc ku szalonemu, obrażającemu domysłowi... Głośne, choć niby tajne historye różnych pań z wyższej sfery przemknęły błyskawicznie w mej pamięci... I oto podniosłem w górę oczy odgadujące, napół pytania, napół twierdzenia pełne i... spotkałem się oko w oko ze szczupłą, wysoką postacią młodego Żyda o rysach typowych, o wschodnich oczach podłużnie wykrojonych, z których uderzył w tej chwili płomień tak wielkiej grozy tragicznej, jaką tylko cios nagle spadający może cisnąć do oka ludzkiego...

Odbicie to, widziane tyle razy w tej samej ścianie lustrowej, nic dotąd, nic mi nie mówiło... Aż w chwili tej dopiero pokazało mi wreszcie... mnie samego w świetle właściwem, we własnej postaci.

— Matko! — powiedziałem cicho i równie cudzym głosem, jak cudzem mi się zdawało to dziwne, nowo istnienie, występujące przede mną. Matko! — zawołałem po raz drugi, sztywniejąc pod ogromem wrażenia i czepiając się rąk jej kurczowo. — Jestem rodzonym synem twoim i... jego... ojca... Żyda?!

W tej chwili ona sama, jej wstyd, cierpienie czy poniżenie — nie istniały dla mnie wcale. Widziałem tylko przed sobą to... to nowo... to cudzo, to wstrętne i straszne!

„I przyłączon do ludu swego...“ przyłączon jeszcze za życia...

— Szalony! szalony! co ci się roi?! — odpowiedział mi głos jej nieuspakajający, nieprzeczący w brzmieniu, które chwytałem chciwem uchem, lecz tylko usiłujący ukryć... rozpaczliwie ukryć... a pełen męki i strachu, aby nie wyjawić tego, co obawiałem się usłyszeć, a co było... i jest już... i będzie już zawsze, będzie, bezpowrotnie zrośnięte ze mną, jak piętno galernika.

— Walterze mój drogi! synu najukochańszy, jesteś naprawdę przybranym synem moim! Czyż mi nie wierzysz, mnie, która nic nigdy nie skłamała przed tobą?! — ciągnął dalej ten sam pokorny, żebrzący głos, urywany, wstrząsany płaczem spazmatycznym.

— Jestem i byłam zawsze uczciwą kobietą i przeszłość moja była zawsze czysta!

Teraz głos zabrzmiał inaczej. Błysnęła w nim chwilowo duma i prawda, nieulegająca wątpliwości.

— Więc może nawet i napół „gojem“ nie jestem? — spytałem z dziwną gorycą, rozpaczliwie czepiając się ostatniego wątka nadziei, że choć połowa krwi innej płynie w mych żyłach.

I nie słyszałem już głosu. Jakiś bezdźwięczny szept, niby przeczący, zamierał na wargach matki, ale odpowiedź nieKłamiąca wyjrzała jej mimowoli z błagalnych, łzawych oczu.

Ściany żółtego buduaru poczęły dziwnie się pochylać i spadać ze zgrzytem. Białe japońskie ptaki zamiotały się na nich konwulsyjnie, łamiąc skrzydła w jakiejś walce śmiertelnej. Z pomarańczowych draperyj zionęły duszące, skwarne powiewy — oddech mi spłonął w piersi i runąłem.

V.

Jestem więc Żydem. Spróbuję być Żydem uczciwym. A więc spróbuję nie wstydzić się samego siebie — nie będę renegatem. Zrywam gwałtownie tę wrosłą w cia-

bne są zapobiegawcze. A więc i tutaj trzeba się trzymać tej zasady. Należy we wszystkich wsiach, osadach i miasteczkach pobudować strażnice, z których nieustannie, i w dzień i w nocy, czuwałoby nad bezpieczeństwem domostw oko ludzkie. Każdy zdrowy mieszkaniec powinien dyżurować na wieży. Nadto, podczas pilnych robót, kiedy całe wsie stoją pustkami, należałoby mieć jeszcze innych dyżurnych, którzy chodziliby po ulicach, zaglądali do zagród i w razie nieszczęścia alarmowali mieszkańców, pracujących w polu. Wreszcie trzeba rozciągnąć opiekę nad dziatwą, pozostawioną samopas we wsiach (o czem pisaliśmy już dawniej), nad idyotami i obłąkanymi i wogle ludźmi niedołężnymi, bo, jak dowiodło doświadczenie, te kategorye ludzi najczęściej są sprawcami pożarów. Po za tem należałoby jeszcze ująć w pewne karby palenie tytoniu.

Ponieważ normalna ustawa ochotniczych straży wiejskich nadaje im charakter organizacyj czysto społecznych, więc i powyższe środki zapobiegawcze trzeba wciągnąć do ich zadania, a więc tem samem dać im szanse prędszego urzeczywistnienia i rzetelnego wykonywania.

KRONIKA POZNAŃSKA.

Notatki do dziejów hakatyzmu. — Rozwój Towarzystwa szerzenia niemczyzny. — Stowarzyszenie hakatystek. — Deklaracya dla aptekarzów. — Projekt zagłady języka polskiego. — Morderca. — Poglądy Niemców światłych na ucisk narodowości polskiej.

Coznowu nadarza się nam smutna sposobność dorzucenia kilku notatek do dziejów hakatyzmu. Dzienniki, należące do tej organizacyi haniebnej wobec świata cywilizowanego, ogłosiły sprawozdania z jej działalności. Przedewszystkiem uderza nadzwyczaj szybki rozwój stowarzyszenia. Tak np. w ciągu roku przybyło aż 7,000 członków, a więc jest ich ogółem podobno już 20,000. Kobiety niemieckie, wogóle celujące pod względem łączności w „pracy zawodowej,“ postanowiły wznieść ohydny pomnik swojej płci w dziejach rozwoju ruchu niewieściego — stworzyły własną hakatę pod nazwą: *Deutscher Frauenverein für die Ostmarken.* Urzędowa ich odezwa, podpisana przez hr. Mons, Kennemanową i Tiedemanową, powołuje się na rozporządzenie ministra (z d. 12 kwietnia r. b.), które poleca urzędnikom i nauczycielom, ażeby troszczyli się o wychowanie patryotyczne niemieckie. Czerpiąc bodźce z tej zachęty, hakatystki nawołują kobiety niemieckie i dziewice do zakładania filij kobiecego związku berlińskiego, tworzenia ochronek dla dzieci, stacyj do pielęgnowania chorych, czytelni ludowych itd. Wogóle zaś mają się one trzymać drogi już utartej przez mężczyzn-hakatystów, a więc — walczyć wszelkimi środkami ze wszystkiem, co jest nieniemieckie, szykanować wszystko, co polskie i wogóle słowiańskie, deptać narodowość obcą, wypierać kobiety polskie z wszelkich, choćby najskromniejszych placówek bytu, wynaradawiać, rozbijać i rabować w walce „kulturalnej, ekonomicznej i społecznej.“ Tak szczytnych zadań podjęły się kobiety niemieckie!

Z faktów szerszej działalności hakatyzmu notujemy następujący: Aptekarzom, którzy w r. b. nabyli apteki koncesyonowane (do ich prowadzenia niezbędna jest koncesya rządowa), prezes regencyi poznańskiej za pośrednictwem burmistrzów nakazał (przed udzieleniem koncesyi) podpisać następującą znamienną deklaracyę: „Ja, aptekarz X., zobowiązuję się, że w razie otrzymania koncesyi używać będę tylko niemieckiej firmy apteki. Za każde wykroczenie przeciw temu zobowiązaniu zapłacę na żądanie pana prezesa regencyi w Poznaniu karę w wysokości 100 marek, w głównej kasie regencyjnej. Czy wykroczenie faktycznie istnieje lub nie — ostatecznie orzeka pan prezes regencyi w Poznaniu, *z wykluczeniem drogi prawnej.* Jeżeli wykroczenie będzie stwierdzone, należy napis usunąć w ciągu dziesięciu dni po otrzymaniu zawiadomienia; w przeciwnym razie winny zapłaci ponownie karę w rozmiarach powyższych. Powtarzać się to będzie póty, aż nareszcie napis zniknie zupełnie.“

Niektórzy, w obawie utraty środków istnienia, podpisali bez szemrania tę zbójecką deklaracyę; inni zamazali napis polski: „Apteka,“ lub nie umieścili żadnych napisów. Jeszcze inni protestowali, lecz bezskutecznie. Między tymi ostatnimi znalazł się także Niemiec, który ze szczerem oburzeniem twierdził, że usunięcie polskiego napisu „Apteka“ pozbawi go klienteli polskiej.

Jest to czyn. W teoryi hakatyści idą jeszcze dalej. Oto jeden z nich, nieprzytomny w swej zaciekłości germańskiej fanatyk, Hasse, żąda surowych środków, zmierzających do zupełnej zagłady języka polskiego. Ponieważ kontrolowanie zebrań i wieców polskich jest dla władzy niezmiernie uciążliwe, ponieważ przytem rząd nie jest obowiązany trzymać urzędników, obeznanych z językiem polskim, więc, według rady p. Hassego, należy wogóle zakazać tego wstrętnego i wrogiego języka w życiu publicznem, w konferencyach kościelnych i świeckich, w spółkach, cechach i towarzystwach. Prócz tego, należy zakazać wywieszania polskich pism, plakat i ogłoszeń, bo to drażni serce niemieckie i męczy wzrok widokiem niemiłym. Ostatecznie mogą tam jeszcze Polacy używać swej mowy w domu, byleby nie dochodziła ona do ucha niemieckiego. Żądanie to oczywiście trzeba brać jako brednie Niemca, pijanego nienawiścią do plemion obcych; ale bądź co bądź, te brednie są otwartą spowiedzią i wskazówką dla nas, a zarazem dla organizacyi opryszków, działających pod płaszczem patryotyzmu niemieckiego. Są oni opryszkami i zbójami w całem tego słowa znaczeniu, nie poprzestając na morderstwie moralnem i duchowem, biorą się już do fizycznego. Oto fakt: W okolicy Królewca pracowali robotnicy polscy, rozdzieleni według płci na dwie partye, pod dozorem niejakiego Wittstocka. Jeden z nich, usłyszawszy płacz żony i wołanie o pomoc, pobiegł wraz z innymi i spostrzegł, iż dozorca pastwi się nad kobietą; widząc nadchodzącą odsiecz, Wittstock wydobył rewolwer i zabił na miejscu męża kobiety, nad którą się znęcał. Zbój podobno chodzi bezkarnie i oczekuje nagrody od braci

---

ło maskę, pomimo zaklęć mej matki, pomimo rozpaczliwego jej oporu, pomimo tej strasznej pokusy, że wszystko nadal pozostanie, jak dotąd było — tajemnicę wdusimy znowu w swoje wnętrza.

— Nie lękaj się — powiadam z tem samem nowem a bezwzględnem okrucieństwom dla niej i dla siebie — potrafię być całkiem „correct“ jeszcze przez dni ostatnie, wyjadę jeszcze z miasta, jako półhrabia, oszczędzę ci wstydu — ale potem ślad mój zginie w jakiejś legendzie. Obawiać się być Żydem — byłoby to „po żydowsku!“ — kończę z ironicznym uśmiechem.

Rozstania tego z nią i ze szczęściem, które z rąk jej spłynęło na mnie, opisać nie jestem w stanie, chociaż nie było ono ostatniem, chociaż dano mi ją było widywać póki... żyła... dość długo jeszcze ten skarb najwyższy życia mego. Nie byłem z nią tak nikczemnie okrutny do końca, jak w pierwszych tych chwilach rozpaczliwej goryczy. Pożegnałem ją całem sercem u nóg jej złożonem.

O innem za to rozstaniu mogę już teraz mówić spokojnie i objektywnie — o rozstaniu z tą „kochającą“ a ukochaną narzeczoną. Gdybym stanął przed nią, wrzała jeszcze w całej istocie mojej okrutna walka pomiędzy tem dawnem „ja,“ co ustępowało powoli, gniecione, ranione, deptane przez nieznanego jeszcze przeciwnika, a tym przeciwnikiem, który się hardo wpierał do duszy, jak nienawistny władca, pewny swego łupu. Ten nowy pan wydawał się jej jeszcze tak obcy i... tak straszny. Wszystko, co do niej wprowadzał, było tak nowe dla niej, jak świat męcząco dziwaczny, co po raz pierwszy ukazał mi się wśród dusznych żółtych zasłon i ścian drgających kurczowo od stóp do sufitu w buduarze mej matki.

Powtarzam jej, narzeczonej mojej, raz, drugi, trzeci, kim jestem — mówię seryo, wyraźnie, przekonywająco. Lecz ona na to śmieje się i śmieje... Śmiech ten łaskocze nerwowo mi serce, mdło mi się robi koło niego. A ona dalej się śmieje wdzięcznie, kokieteryjnie — rozkosznie, słuchając tego żartu „swego ukochanego Waltera.“

— Tak ładnym i interesującym jesteś Żydem, że chętnie z tobą gotowa jestem rozdzielić królewski splendor należenia do ludu wybranego i na skroń swoją wdziać ciernie, którymi go zasypują chrześciańscy barbarzyńcy!

— Chwytam cię za słowo — powiedziałem smutnie. Przyszedłem cię właśnie zapytać, czy zechcesz rozdzielić ciernie, bo o splendorach mowy być nie może...

I ze ścisłością matematycznego dowadzenia—opowiedziałem jej z kolei wszystko, com wyrwał... z pod serca tej drugiej kobiecie. I widzę odbite na niej blado, lecz jeszcze aż nadto silnie własne me męki z przed dni kilku, kiedym dowiadywał się o swej przeszłości. Chwyta się z całej mocy rękami za poręcz fotelu, drży cała od stóp do głowy — i powtarza machinalnie, bezmyślnie, jak piękna woskowa figura w tragicznej roli:

— Być nie może! być nie może!

A ja podburzony i podrażniony podkreślam swoje słowa, powtarzam epitety dotyczące „moich rodziców.“ Zresztą nie dziwię się jej w tej chwili i nie potępiam jej wcale. Owszem, rozumiem ją, a jednocześnie czuję, jak głucha złość zalewa mi piersi. Wiem jednak, że kocha mię naprawdę, głęboko, szczerze kocha.

— On!... Żyd?!

Kiedy wreszcie staje się zdolną słuchać i mówić, pytam ją czy uważa odkrycie to za ciężar tak wielki i wstrętny, że unieść by go nie mogła, stając się żoną moją?

Odpowiada mi z łuną krwi na twarzy:

— O nie myśl, nie myśl, że tak gardzę... Żydami! — Urywa zmieszana, wylękłym, nieznanym mi wzrokiem patrząc na mnie. Czuję, że w tej chwili *Żyda* już widzi przed sobą. I odpowiedź ta uderza mię wprost w serce. Doznaję wrażenia takiego, jak wtenczas, gdy posądzano mię niesprawiedliwie niby o żydostwo — wstydu i obrazy, a jednak czuję się już zarazem dotknięty, jako Żyd. Odpowiadam więc chłodno, z odcieniem ironicznym, tonem wykładu:

— Przypuszczam, bo musiała pani sły-

bakałystów. Świadomi rzeczy utrzymują, że stanie on na czele bandy zbójeckiej, która będzie napadała na polskie domy i sklepy, będzie wyrzynała w połu robotników polskich. W tej przepowiedni charakterystycznej przebija się strach, niebezkrytyczny. Przemoc germańska doszła dziś do takich granic, że nic niema nieprawdopodobnego.

Zamordowanie robotnika polskiego i bezkarność tego czynu powinno być wszakże wskazówką i przestrogą dla ludności naszej, dążącej do Niemiec na zarobek. A jednak wędruje ona tam masami, tak daleco, że według świadectwa pism niemieckich, władze pruskie nie mogą dać rady. Znaczna część robotników podobno przebywa granicę w miejscach niestrzeżonych lub nocą, bez wszelkiej kontroli. W głównych punktach granicznych podobno przechodzi niekiedy po tysiąc osób dziennie. Żandarmi nie mogą podołać pracy, pomijając już to, że papierów rosyjskich czytać nie umieją. Pisma niemieckie z tego powodu skarżą się na niedbalstwo i niedołęztwo władz pruskich. Zdaje się jednak, że źródłem tego „niedbalstwa“ jest chęć korzystania z tanich sił polskich, pomimo patryotyzmu niemieckiego. Gdzie chodzi o interes, gdzie Niemiec przedsiębiorca może zarobić dobrze, a wie, że jego czynów nie dostrzegą łatwo współbracia, tam nawet swoich sprzeda; przehandluje swój patryotyzm, zamieni swoje idee na marki.

Ucisk narodowościowy pod panowaniem pruskiem ma przecież strony dobre: wytwarza on śród uciśnionych większe i szczersze uczucia narodowe, uświadamia masy w potrzebie obrony. Nadto, przekonywa on Niemców, że walka z narodem żywotnym, wysoce ucywilizowanymi kulturalnym, jest jałową, pomimo przewagi państwowej i politycznej. Do tego przekonania mniej lub więcej szczerze doszła już uczciwsza i rozumniejsza prasa niemiecka. Niedawno podaliśmy kilka charakterystycznych głosów w tej mierze, a obecnie mamy do streszczenia poglądy dwu pism, wysoce znamienne. Najpierw zamieszczamy charakterystykę obecnej polityki pruskiej, naszkicowanej przez organ katolicki, *Merkische Volkszeitung*: „Polityka rządu wobec Polaków stoi stale pod sztandarem ucisku. Nadzwyczaj ostry, surowy wiatr wieje (z lasku kasztanowego, w którym rezyduje właściwy przedstawiciel tej polityki, wiceprezes ministra stanu, p. Miquel) przeciwko słowiańskiemu szczepowi na wschodzie ojczyzny naszej. Ludność tę p. Miquel chce zmusić do miłości! Gdy się przypomną doświadczenia, jakie poczynił rząd pruski w czasie walki kulturalnej przez gwałtowne swoje postępowanie wobec katolików, to doprawdy trudno pojąć, że ten pierwszy skrzypek w koncercie ministeryalnym, bądź co bądź mądry człowiek, tak daleco zbłądził. Bo przecież historya nas uczy na każdej stronicy, że występowanie w dziedzinie duchowej przeciwko szczepowi słowiańskiemu gwałtownymi środkami, dotykanie jego miejsc najdelikatniejszych szorstką ręką, jest błędem okropnym. Zważmy, że tę inoplemieńczą część ludu w różnych czasach traktowano rozmaicie, że w jednej ręce trzymano dla niej cukier, a w drugiej bat — więc tem bardziej polityka rządu wobec Polaków nie może liczyć na uznanie.“

Pismo zaznacza w dalszym ciągu, że przed pięciu laty rząd chciał wprowadzić rozumną politykę uprzejmości i przychylności wobec Polaków. Miała ona się zasadzać na właściwej nauce języka polskiego w szkołach ludowych. Łatwowierni polacy przyjęli tę deklaracyę z góry i przez wdzięczność głosowali za projektem wojskowym, wybornie tym sposobem dopomagając do zwycięztwa rządu. „Sądzimy, że ówczesny kanclerz na seryo myślał o polityce pojednawczej i że byłaby ona doprowadziła do pomyślnych wyników, gdyby nią rząd pokierował rozumnie. Ale p. Caprivi zrobił obrachunek bez pewnych żywiołów, stale osiadłych śród Polaków i wrogo usposobionych dla polityki pojednawczej. Te żywioły, wyłącznie protestanckie, które w Polakach bardziej jeszcze nienawidzą *katolików*, aniżeli *obcoplemieńców*, oświadczyły na zachętę ks. Bismarcka, że zamierzona polityka pojednawcza zagraża niemczyźnie na kresach wschodnich; wszczęły ogromną wrzawę i energicznie oparły się urzeczywistnieniu zamiarów Capriviego. Było to dla nich bodźcem do utworzenia związku ku obronie niemczyzny na kresach wschodnich, które pismo cytowane powyżej nazywa otwarcie „związkiem ku tępieniu Polaków.“ Wrogowie polskości wzmocnili swój wpływ na rząd, a hr. Capriviego zdołali skłonić do „zmiany kursu,“ która ostatecznie doprowadziła do zażartej walki przeciw polskości we wszystkich dziedzinach, zwłaszcza od chwili, w której p. Miquel zgodził się na tę walkę. Wiadomo, do czego doprowadziła owa metoda i jak daleco grozi ona wojną ekonomiczną na śmierć i życie.

Postępowanie takie i chwiejność rządu w postawie wobec Polaków, jest niezmiernie przykrą dla uczciwszych jednostek — przedstawicieli tego rządu. Jasno one widzą bezczelność tej całej polityki. Oto dlaczego, jak utrzymuje *Merkische Volksztg*, wybitni urzędnicy Niemcy, uczciwi, niepozbawieni sumienia, usuwają się ze swego stanowiska w Poznańskiem, nie chcąc nadal uczestniczyć w „polityce tępienia.“ Zastępują ich inni, odarci z uczuć ludzkich. Ale ich działalność doprowadzi do jednego rezultatu: „Obecna polityka w obec Polaków poniesie klęskę.“

Charakterystycznie i jaskrawie, przy zestawieniu z powyższymi, zarysowują się następujące poglądy *Berliner Zeitung*: „Przy wszystkich walkach plemiennych, tj. politycznych i plemiennych w obrębie jednego państwa, trzeba zawsze pamiętać, że narodowość w takich warunkach jest nie wytworem przyrody, ale raczej zjawiskiem, powołanem do życia przez ogólny rozwój kultury; zjawiskiem, którego przeszłość decyduje o jego teraźniejszości i przyszłości. Każdy naród — jak pisał niegdyś H. R. Oppenhein — ma swoje prawa rozwoju. „Jeżeli nas boli, że Czesi źle się obchodzą z Niemcami w Czechach, to powinniśmy w sobie wyrobić samowiedzę krytyczną. Musimy zbadać, czy nasze uprawnione usiłowanie, ażeby w Niemczech niemieckość silnie się rozwinęła — nie popycha nas do narodowej nietolerancyi, która ostatecznie doprowadzić może do takiego rozwoju narodowo-patologicznego, jakie spostrzegamy u Francuzów. Istotnie w Niemczech stawiamy bardzo wysoko myśl niemiecko-narodową. To wszakże nie znosi prawa i obowiązku krytyki, jeśli popełnia się błędy w traktowaniu innych narodowości.“

Rozumniejsi Niemcy przyszli dziś do przekonania, że bardzo wiele już zbłądzić musiano, skoro pozwolono na taki

---

szeć, że i pomiędzy Żydami zdarzają się rzadkie wyjątki. Naprzykład — chociażby ja — nie mogłem przecież nagle się zmienić dlatego tylko, że ujawniłem i uświadomiłem sobie od dni kilku swoje pochodzenie autentyczne. Warunki i wychowanie — dodałem surowo i bezdźwięcznie, konstatując w swej myśli własnoj nowość tak nagle zmienionego zdania — czynią Żydów takimi, jacy bywają po większej części. Moje zaś warunki i wychowanie były takiemi, jak twoje... jak naszego, to jest... „waszego“ świata całego; jestem też niewątpliwie do „was“ podobny.

Wydało mi się, że miłość jej przemówiła nareszcie bez porównania skuteczniej, niż ja to mogłem uczynić — gdyż oto po raz pierwszy rzuca mi się na szyję w tej chwili z uczuciem tak idealnie rzewnem, tak tryskającem tkliwością, jakby mię chciała nagrodzić za krótką mimowolną słabość swoją, za przelotną krzywdę mi wyrządzoną. Przygarniam ją szczęśliwy i dumny, mówiąc z gorącą wdzięcznością i miłością:

— Rozumiem, najdroższa, chwilę przykrego zdumienia i walki twojej, lecz byłem tak pewien ciebie... mówię swym dawnym głosem swobodnego szczęścia, zapomnianym już od dni kilku.

A ona podnosząc na mnie oczy, skrzące się łzami, rozmiłowane nad wyraz, mówi z przejęciem:

— Taki Żyd! Nie, nic niema w tobie żydowskiego, owi uczniowie pańscy tyle zapewne mieli wspólnego ze swemi współplemiennikami, co ty, mój luby, mój najmilszy! Czyż można wyrzec się takiego?!

Mówi te słowa z dziecinną przesadą i zaślepieniem kochającej bez granic kobiety. Ale wślad za tem dodaje cicho i dyskretnie:

— Dziękuje ci, najdroższy, za twe zaufanie. Czyż potrzebuję obiecywać ci i przysięgać, że nigdy, nigdy nie zdradzę twej tajemnicy, tak samo jak matka twoja ukochana...

— Nie zdradzisz tajemnicy?! — wołam wyrywając się gwałtownie z jej objęć i nie chcąc wierzyć swym uszom. — Jak, to, przypuszczasz, że mógłbym zataić pochodzenie swoje? mógł kraść nikczemnie wasze przywileje? Ależ przenigdy! Byłbym właśnie tchórzem, gdybym się wyrzekł dla nich samego siebie! Dowieść chcę właśnie światu, żem nie gorszy od was, chrześcian z pochodzenia. Podniosę śmiało to czoło z piętnem Izraela!

— Na miłość Boga, przestań! Zastanów się, co mówisz! Jakie szaleństwo chcesz popełnić! Toż trzeba wyrzec się wszystkiego... czem dotąd żyliśmy oboje... Jak oni wszyscy spojrzą na to — rozumiesz chyba dobrze! I po cóż, po co?! Co komu z tego przyjdzie, oprócz mąk poniżenia dla nas obojga? O nie zaciekaj się, na miłość Boga! Pożałuj mnie i siebie! pożałuj, pożałuj!...

Błagała i rozpaczała, to znów oburzała się i przekonywała mię jak mogła. W słowach tych szybkich, namiętnie rwących się z ust rozpalonych bólem — przeglądała miłość jej dla mnie jako chrześcianina, jako człowieka łudząco wcielonego do jej narodowości i cały ogrom tradycyjny pogardy i wstrętu dla Żydów mych współbraci. Milczałem jakby stanąwszy nad trumną zamkniętą na zawsze, której żadne słowa, ni jęki nie otworzą...

— Żegnaj! — szepnąłem tylko, a potem wybuchnąłem śmiechem i śmiałem się tak długo, tak długo i tak głośno, że z ulicy przemocą wprowadzono mię do lekarza...

W uszach mi brzmiał jednakże przez lata całe modlący, złamany głos jej od progu:

— Wróć! och, wróć! Wracaj na miłość boską! Niechże tak będzie, jak każesz!

Nie powróciłem, bom wiedział, czemby to było dla niej, gdyby się stało naprawdę. — A więc sam jeden!

(C. d. n.).

ciągły rozrost polskości. Błąd ten grubo podkreśla *Berliner Zeitung*. Organ ten zaznacza, że niedawno ministrowie urządzili pielgrzymkę do Poznania i naradzali się poważnie nad środkami odparcia polskości, „gdyż znany fundusz, przeznaczony na zakupno ziemi dla *Niemców*, okazał się *dobrodziejstwem dla Polaków!..*“ „Ministrowie ci gotowi są wylać na Poznań cały róg obfitości pięknych darów. Muzeum, biblioteka, rozszerzenie miasta, nowy dom towarzyski — i czegoż, poznańczycy, pragniecie więcej?“

Poznański dom towarzyski przypomina organowi berlińskiemu Dom niemiecki w Pradze: „Praskim Niemcom nie nie pomogło ich historyczne stanowisko w mieście i kraju, nie pomogły im ani uniwersytet niemiecki i inne instytucye, ani kasyno niemieckie. Nieubłaganie i nieustannie rozwija się proces, który słodkie słowa czeskie „o złotej słowiańskiej Pradze“ zamienia w bolesną dla Niemców rzeczywistość.“

Dlatego też *Berliner Zeitung* nie przypisuje darom dla Poznania żadnego donioślejszego znaczenia i sądzi, że rozrostowi polskości nie zapobiegną środki tego rodzaju.

Są to istotnie bardzo mądre i światłe poglądy. Gdyby ich słuchano, narodowości naszej groziłoby większe niebezpieczeństwo już dzisiaj. Polityka drażniąca wzmacnia naszą czujność i odporność, gdy tymczasem łagodząca usypiałaby tę czujność i osłabiała nasze poczucie narodowe.

el.

KRONIKA KRAKOWSKA.

Jeszcze stan wyjątkowy. — Artykuły prof. Tarnowskiego. — Zakaz zjazdu pedagogicznego. — Petycya Rady miejskiej. — Procesy chłopskie. — Komitet ratunkowy żydowski. — Zjazd delegatów kółek rolniczych. — Nowy program. — Organizacya stronnictwa narodowo-katolickiego. — Protest przyrodników i lekarzy.

Oddawna stwierdzoną i przez wszystkich kronikarzy wszelakimi sposobami powiedzianą prawdą jest fakt, że najcięższą pracę stanowi pisanie kroniki w lecie. Ale pisanie kroniki z miasta, nad którem zawisła klątwa stanu wyjątkowego, jest już doprawdy robotą Syzyfową.

Wskutek rozruchów antisemickich rozwiązano wszystkie stowarzyszenia, oprócz antisemickich; zakazano wszelkich zjazdów, oprócz antisemickich; ograniczono wszystkie dzienniki, oprócz antisemickich; zawieszono konstytucyę tylko w tych miejscowościach, gdzie rozruchów nie było.

Jeżeliby się to komuś dziwnem wydawało, niech postara się dostać artykuły prof. Tarnowskiego, który od dwóch miesięcy, ze stanowiska filozoficzno-polityczno-społecznego, wylewa co drugi dzień sześcioszpaltowe potopy wody — przepraszam — łez, nad tem, że rząd tak późno spełnił to, co było oddawna jego obowiązkiem.

Tymczasem przeszło tysiąc chłopów odsiadywało w najbardziej dla rolnika roboczym czasie więzienia śledcze, czekając rozstrzygnięcia swego losu znacznie dłużej, niż należało, pomimo iż sądy gorliwie i energicznie pracowały nad tem, żeby skrócić przebieg procesów. Ciekawem jest, że wszystkie dochodzenia pozostały bezowocne co do wykrycia ręki, która kierowała rozruchami. Wszyscy oskarżeni zeznawali zgodnie, że otrzymali pozwolenie od cesarza (niektórzy nawet na piśmie) porachowania się z Żydami. Nigdzie nie odkryto ani śladu prowokatorów i pierwszych, moralnych sprawców zaburzeń.

Wobec tego jako bardzo dodatni objaw należy zaznaczyć uchwałę ratunkowego komitetu żydowskiego, złożonego z przedstawicieli inteligentnych i zamożnych sfer żydowskich, który w początku lipca obradował w Krakowie. Obmyśliwszy środki niesienia pomocy Żydom, którzy padli ofiarą rozruchów, uchwalono dawać zapomogi tylko tym poszkodowanym, którzy krzywd swoich na chłopach dochodzić nie będą. Faktem tym zaznaczyła inteligencya żydowska, że dobrze rozumie, iż jeżeli proletaryat żydowski poniósł przez rozruchy straty materyalne, to również ofiarą ich moralną stał się chłop, nieuczciwą agitacyą do zbrodniczych czynów pobudzony.

Tymczasem pan burmistrz krakowski tak się przejął ważnością stanu wyjątkowego, że samowolnie, do czego nie miał prawa, zakazał zjazdu Tow. pedagogicznego, który miał jak co roku odbyć się w Krakowie. Jest to niewinne stowarzyszenie nauczycieli ludowych, tych biednych głodomorów, których narady z pewnością porządkowi społecznemu niezemnie zagrażały.

To też strach padł na wszystkie dzienniki, a szczególnie na wszystkich przejezdnych. Radcowie miejscy, zagrożeni w swoich interesach materyalnych, bo i hotele stały pustkami i sklepy próżne wyglądały wspaniałemi wystawami na bezludne ulice — poczuli nagle rycerskiego ducha. Na wniosek dr. Ponikły uchwaliła Rada miejska: „stając w obronie praw obywatelskich i interesów miasta,“ wniesienie petycyi do namiestnictwa o uchylenie stanu wyjątkowego. Zgromił za to Radę hr. Tarnowski, ale petycya została wysłana. Tylko podług trywialnego trochę przysłowia polskiego było to pokiwaniem palcem w bucie, bo stan wyjątkowy trwa dalej w całej rozciągłości, a ofiarą jego padają nie sprawcy albo uczestnicy rozruchów, ale najspokojniejsi obywatele przemysłowcy *).

Mimo jednak wszelkich starań stróżów spokoju i ładu społecznego, stan wyjątkowy ostatecznie kiedyś zniesiony być musi.

Delegaci kółek robotniczych (jezuickich), którzy zjechali się do Krakowa w niezliczonych zastępach, ułożyli nareszcie po długich naradach program ratunkowy, który ma wszystkim dogodzić i wszystkich pogodzić. A więc: obok równouprawnienia wyznań ma być ścisłe przestrzeganie zasad katolickich w nauce i wychowaniu szkolnem. Robotnicy mają mieć udział w zyskach przedsiębiorców, jeżeli oni się na to zgodzą itd. itd.

Pod temi hasłami zawiązało się już nawet stronnictwo katolicko-narodowe. Zaraz po ukończeniu zjazdu delegatów katolickich stowarzyszeń robotniczych, zebrała się wybrana przez zjazd ten komisya pod przewodnictwem p. A. Stróżyńskiego. W skład jej wchodzą: prof. Czerkawski, prof. Konieczny, ks. Łabaj, pp. Milewski, Karczowski, Roztworowski, Krotowski, Leszek - Wiśniowski, Bobilewicz, Staszczyk, ks. redaktor Flis. Komisya ta opracowywa ostateczny program stronnictwa, a po porozumieniu się z organizacyą we Lwowie i na prowincyi, oraz wzmocnieniu sekcyi delegatami z całego kraju, przystąpi do ułożenia statutu.

Jednocześnie stronnictwa ludowe i demokratyczne mają obradować we Lwowie przez swoich posłów nad sposobami uchylenia stanu wyjątkowego i przywrócenia pełni obywatelskich praw w kraju. Co z tego wszystkiego wyniknie, przyszłość pokaże. Czasy w każdym razie są ciekawe.

Z powodu zakazu zjazdu lekarzy i przyrodników w Poznaniu, wystosowali tutejsi przyrodnicy i lekarze protest do rządu i Rady państwa przeciwko traktowaniu uczonych polskich jako awanturników i włóczęgów. Protest domaga się od rządu, aby ten upomniał się za wyrządzoną im zniewagę, na którą sprzymierzone państwo nie powinno pozwolić sobie wobec obywateli austryackich. Głos ten zostanie z pewnością bez odpowiedzi.

Cacca.

*) Świeżo dosolono jeszcze ten bigosik austryacki zawieszeniem sądów przysięgłych. *Red.*



LIBERUM VETO.

Wymaganie czasu.

Śmierć ks. Krupińskiego wywołała znowu z przeszłości marę pozytywizmu, który rozmaitym piastunom naszego społeczeństwa służy jako „dziad“ lub „kominiarz“ do straszenia dzieci, a odważnym zuchom jako cel do wykazywania swej odwagi. Zarówno pierwsi wszakże, jak drudzy nie zużytkowali należycie tego upiora „na korzyść ogółu“ dlatego, że nie wiedzą, czy Krupiński w pewnym okresie swych przemian umysłowych był, czy też nie był pozytywistą. Był — bo często zdradzał sympatyę ku myślicielom francuskim i angielskim tej barwy, a nawet napisał rozprawę o „Szkole pozytywnej“; nie był — bo występował przeciwko pozytywistom. Pokropiwszy więc tylko frezeologiczną wodą święconą szatana, który omal nie skusił naszej domorosłej, dziewiczej i dotąd jeszcze w krótkich spodniczkach chodzącej filozofii, zapisano na rachunek nieboszczyka szereg rzeczowników i przymiotników, zapewniających ogólnie, że był „głębokim myślicielem,“ odznaczał się „niezłomną logiką“ i „gruntowną znajomością przedmiotu.“ Znaczy to tyle, co „tra-la-la“ w poezyi, lub: „fitu, fitu, pełna skrzynia aksamitu“ w zagadce.

Trzeba jednakże na usprawiedliwienie tych piskorzowych frazeologów przyznać, że mieli zadanie trudne — określenie pisarza, który był rodzajem mozajki, złożonej z części, niedających się z sobą spoić. Niema bardziej fałszywego sądu, niż ocenianie wszystkich stron życia i działalności człowieka miarą jego strony najsilniejszej. Bismarck nie był genialnym generałem, chociaż nosił mundur wojskowy, a Darwin wielkim muzykiem, chociaż grywał na fortepianie. Podobnież Krupiński, zacny i prawy charakter, światły ksiądz, rozumny obywatel kraju, kochany przez młodzież pedagog, pomimo tych wysokich zalet nie był wcale znakomitym filozofem. Nawet na naszem bezrybiu filozoficznem nie można go nazwać grubą rybą. Niemal co kilka lat zmieniał swoje sympatye filozoficzne, z idealisty przedziergał się w pozytywistę, w wyznawcę teoryi rozwoju itd., a zawsze do nowonabytych przekonań mieszał mniej lub więcej silną zaprawę, do której zobowiązywało go jego stanowisko. W pewnym względzie odegrał on w naszej literaturze rolę Twardowskiego: ultramontanie widzieli w nim czarnoksiężnika, który zaprzedał duszę dyablu, a ich przeciwnicy — prawowiernego szlachcica polskiego, który śmiało rozumował, ale jednocześnie śpiewał godzinki; w mniemaniu zaś pierwszych i drugich wisiał ciągle między niebem a ziemią. Zbytecznem jest wczytywać się w artykuły i rozprawy Krupińskiego, dość wyobrazić sobie księdza, nienominalnego, ale faktycznego księdza wyznawcą Darwina, Spencera i Baina; to

jak gdyby ktoś wyobraził sobie Darwina lub Baina członkiem warszawskiej Archikonfraterni literackiej. Jest prawdą, że Krupiński znał tych myślicieli; jest prawdą, iż ich tłomaczył lub popularyzował; jest prawdą, że objawiał upodobanie do ich teoryi, ale nie był filozofem ani w ich duchu, ani w innym. Ktoś powiedział o nim i zapewne z przekonaniem o jego oryginalności, że Krupiński nie uznawał żadnego systematu, bo według niego „czas systematów już minął." Rzeczywiście minął, lecz dla tych, którzy ani własnych stworzyć, ani cudzych przyjąć nie mogą. „Czas systematów" trwa i trwać będzie dopóty, dopóki ludzkie myślenie nie wyrzeknie się ładu i związku. Być może, że Krupiński na innej kolei życia doszedłby do jednolitości poglądów; rozdzierany wszakże między swym zawodem, który go do pewnych przekonań zmuszał, a skłonnościami krytycznego umysłu, które go ku przeciwnym odciągały, miał z konieczności duszę wahadłową, która nie mogła poruszać się w jednym kierunku i dla której niewygodnym był jakikolwiek system. Nie znałem go osobiście, ale zdaje mi się, że nosił on w sobie bolesny choć milczący tragizm tego rozdwojenia, że sam je czuł i usiłował pogodzić sprzeczności sofistyką, która była przedewszystkiem potrzebą utrzymania bodaj sztucznej równowagi umysłowej. Położenie tego rodzaju, opieranie się na przeciwległościach ma ten nieunikniony skutek, że prawie każda myśl, prawie każde słowo staje się grzechem i bluźnierstwem względem jednego lub drugiego stanowiska. Kto chce być współcześnie teologiem i ewolucyonistą, musi być ciągle przeciwnikiem albo teologii, albo ewolucyonizmu. Krupiński miał za dużo rozumu, ażeby tego nie pojmował, ale zarazem za dużo ambicyi człowieka wykształconego, ażeby tej wewnętrznej rozterki nie usuwał ze swej świadomości. Dla złagodzenia przykrości rozdźwięków wmawiał w siebie, że jego dusza jest nastrojona harmonijnie; dla złagodzenia wyrzutów własnej niekonsekwencyi, karcił innych. Stąd też jego artykuły były szeregiem kazań, w których mniej było nauki, niż krytyki. Nie mogąc utrzymać się w dziedzinie teoryi, gdzie sprzeczności jego poglądów wystąpiłyby z całą wyrazistością i gdzie niepodobna było obejść się bez jakiegoś „systemu," wkraczał chętnie w krainę życia i praktyki, gdzie łatwo ukryć niezgodę zasad i stopić ich różnice w „zdrowym rozsądku." Jest to probierz bardzo zawodny, ale dla osłonięcia nieścisłości jedyny. Pisarz, który go używa do oceny ludzi i rzeczy, może być w pewnych wypadkach bardzo dobrym doradcą społeczeństwa, ale nie będzie nigdy filozofem, który powinien posiadać, że tak rzeknę, umysł prostolinijny.

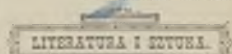
W powyższych uwagach nie miałem wcale zamiaru oceniać publicystycznej działalności Krupińskiego, a tem mniej zniżać jego zasług; chciałem tylko scharakteryzować w nim typ, który z najrozmaitszymi odcieniami powtarza się bardzo często, a który dziś na całym obszarze cywilizacyi ulega bardzo pouczającemu losowi.

Ktokolwiek umie obserwować i wiązać zjawiska, ten z pewnością zauważył obecnie we wszystkich kierunkach życia — w polityce, literaturze, sztuce — stałe ruchy ku krańcom i omijanie stanowisk pośrednich. Wybory do parlamentów w Niemczech, Francyi i Austryi, grupowanie się związków społecznych, powodzenie pewnych teoryj naukowych i utworów artystycznych — wszystko wskazuje, że ludzkość, która zwykle żyje prawdami mętnemi, hasłami nieokreślonemi, uczuwa coraz mocniej potrzebę idei wyraźnych, zasad zdecydowanych, sztandarów oznaczonej barwy. Nie można powiedzieć, ażeby jej pragnienie przechylało się stanowczo ku którejkolwiek stronie; jednocześnie bowiem widzimy przyrost wyznawców odmiennego radykalizmu, zarówno postępowego, jak zachowawczego. Zwężają się tylko koła żywiołów kameleonowych, chorągwi pstrokatych, drogowskazów wieloramiennych. Rozmaici „umiarkowani," „liberalni," „wolno-konserwatywni" itd. tracą kredyt moralny z szybkością bankrutów. Jest to objaw zrozumiały. Hasła niejasne, zasady giętkie, programy łatane są zwykle cechami znamiennemi epok szczęścia. Kiedy ludziom jest dobrze, wtedy oni nie badają drogi, po której idą. Ale gdy zaczną błądzić po manowcach, natychmiast domagają się i szukają prosto wytkniętych gościńców. Mówią oni wtedy do swych przewodników: „prowadźcie nas dokądkolwiek, będziemy biedz naprzód, będziemy biedz wstecz, aby tylko nie kręcić się na miejscu." Dlatego dostrzegamy tak gwałtowny przyrost rzesz, pędzących w przeciwległych kierunkach, dlatego widzimy ubytek śród uczestników kołowrotnego tańca, dlatego nawet krzyki waryatów, nawołujących do karkołomnych skoków, mają dziś więcej zwolenników, niż głosy t. zw. „zdrowego rozsądku," który zaleca robić krok naprzód i krok w tył, przechylać się w równej mierze na prawo i na lewo, sklejać zasady ze sprzecznych połów i logicznie rozwijać uznaną prawdę dopóty, dopóki jej korzyść praktyczna swemi nożycami nie przetnie. Nie jest to objaw nowy i naszym czasom jedynie właściwy. Występował on w historyi wielokrotnie, a zawsze wtedy, kiedy ludzkość uczuła silny niesmak życia, czczość duchową i głębokie rozgoryczenie. Badacze, a raczej sędziowie takiego pesymizmu potępiają go płytkimi wyrokami jako przestępstwo przeciwko logice lub hygienie moralnej. Tymczasem to nie jest wytwór garści chorobliwych mózgów, ale echo pragnień duszy masowej, odbicie jej stanu wewnętrznego. Nie wątpię, że gdyby się zjawił jakiś mistrz, któryby dowodził, że dla osiągnięcia szczęścia należy powrócić do życia jaskiniowego lub też budować pływające miasta na oceanach, więcej znalazłby wyznawców, niż dzisiejszy proteusz, kosmopolityczno-narodowo-liberalno-zachowawczo-krytyczno-dogmatyczno-pręgowany mieszaniec. Ten gatunek obrzydł całemu światu, nie znajduje u niego żadnej wiary. Jak chory, któremu lekarze każą upuścić i wstrzyknąć krwi, wziąć zimną i gorącą kąpiel, przebywać na górach i dolinach, zmęczony temi sprzecznościami uchwyci się najniedorzeczniejszej rady, ale stanowczej, podobnie ludzkość rzuci się w niezdrowiu do każdej teoryi, każdego programu, każdego wierzenia, które jej jasno określa kierunek i cel pochodu.

Oto jest przyczyna, odejmująca dziś wpływ i znaczenie pisarzom tego kroju, co Krupiński. Miał on w swej działalności literackiej tylko jedną chwilę, w której wstrząsnął mocniej naszą opinią, mianowicie kiedy rzucił klątwę na romantyzm. Wywody jego w tym przedmiocie były bardzo powierzchowne, na jakie w rzeczach naukowych tylko „zdrowy rozsądek" zdobyć się może, ale ponieważ wypowiadały myśl radykalną, niezbalansowaną rozmaitemi zastrzeżeniami, więc przykuły do siebie uwagę publiczną i stworzyły jak gdyby zaczątek programu dla tych, co je podzielali. Wkrótce wszakże wrażenie to zatarło się pod następnymi artykułami publicysty, który rozkrawał owoce wiedzy i składał je z odmiennych połówek, który swą socyologię splatał z nici najrozmaitszej przędzy.

Robił, co mógł i umiał, nie zasłużył więc na zarzut, tem bardziej, że ślady jego przejścia przez życie są czyste. Ale pozostawił po sobie potomnym przestrogę, upominającą ich, że dziś jego różnobarwnem światłem przyświecać ogółowi nie można, bo ono ciągłem migotaniem razi wzrok i nie rozprasza dręczących ciemności. Litość i śmiech nas bierze, gdy widzimy dziś spekulantów, którzy pamiętając modę strojów, zszywanych z rozmaitych skrawków, próbują wskrzesić ją w publicystyce i zjednać dla niej umysły mas. Daremny wysiłek! Nawet w naszej prasie ujawnił się powszechny objaw ciążenia ku kierunkom prostym, nie zygzakowatym. *Ksiądz* Krupiński zebrałby u nas liczną rzeszę, ale *filozof* Krupiński nie mógł liczyć na najszczuplejsze kółko uczniów. Bo chwila obecna przyjmie z uznaniem najskrajniejszą teologię, ale nie zadowoli się filozofią „zdrowego rozsądku."

Poseł Prawdy.



PSYCHOLOG MAS LUDZKICH.

IV.

Wizerunek nasz Zoli, jako pisarza, mocno różni się od powszechnie utartych o nim poglądów w naszem piśmiennictwie. On sam przyczynił się niemało do rozpowszechnienia takich niewłaściwych ocen i sądów, a zdawkowa krytyka brała za czyste złoto to wszystko, co powiedział, nie zadając sobie pytania, czy beletrysta francuski nie łudzi czasami siebie i innych. Zola bowiem jest nietylko powieściopisarzem, ale i teoretykiem, który zapatrywania swoje na zadanie sztuki wyłożył w sporej objętości traktatach. Uchodzi on za założyciela nowej szkoły — „naturalistycznej." Ulegając wpływowi modnych w swoim czasie doktryn o dziedzictwie psychologicznem, postanowił napisać „historyę rodziny" i wykazać, jak przywary i nienormalności dziadów przechodzą na wnuków i kształtują ich życie. Do niektórych powieści cyklu Rougon-Macquartów dołączył nawet tablice genealogiczne, mające uprzytomnić czytelnikowi następstwo pokoleń i wzajemne powiązanie przymiotów duchowych. Nadto te dzieje rodziny w jej pojedynczych przedstawicielach miały być obrazem Francyi za czasów trzeciego cesarstwa, dokładniej: skutków, jakie ono wytworzyło w społeczeństwie. W kilkunastu utworach mamy więc przed sobą sytuacye, zamknięte w ramach okresu mniej więcej od r. 1848 do r. 1870. Przed nami przesuwają się karyerowicze prowincyonalni, robiący fortunę na zamachu stanu, awanturnicy, wypływający na wierzch z Badinguetem, hetery wielkoświatowe, spekulanci — coraz niżej i niżej po drabinie społecznej, aż wreszcie spuszczamy się do warstw ludu, do włościan i robotników. Cykl kończy się dwoma utworami: *Klęską*, która przedstawia jakby podsumowanie wszystkich rezultatów monarchii grudniowej; i *Doktorem Pascalem*, rodzajem epizodu, mającego nam dać podobny obraz ostatnich potomków zwyrodniałej rodziny.

Nazywają Zolę historykiem trzeciego cesarstwa i malarzem dziedziczności rodzinnej. W gruncie rzeczy nie jest on ani jednym, ani drugiem. Całością utworów swoich zadał jaknajdotkliwszy cios właśnie tym założeniom, którymi kierując się przystępował do rozpoczęcia zamierzonego dzieła. Dobrowolnie uwiązał u nóg kulę, która jedynie pętała polot wyobraźni powieściopisarskiej. Sam on

narzeka w przedmowie do którejś z powieści na te szranki, jakie postawił swobodzie własnej.

Powieściopisarz francuski pragnął zostać malarzem zgnilizny, która opanowała Francyę za czasów Napoleona III i skończyła się sromotną klęską pod Sedanem. Monarchia grudniowa obdarzyła kraj pewnymi typami, dotychczas nieznanymi, a przynajmniej nie tak obfitymi lub nieznajdującymi dla siebie dostatecznego przestworu. Awanturnicy polityczni w rodzaju jego ekscelencyi Rougona są niewątpliwie wytworem nowego porządku rzeczy. Imperyalizm oddziałał i na świat finansowy i na sfery pospolitego mieszczaństwa, a nie był bez wpływu i na inne warstwy. Ale im niżej spuszczamy się po drabinie stosunków społecznych, im wreszcie częściej, zamiast osób, bierzemy życie grup całych i kategoryj, tem takie zamknięcie gwaru społecznego w ramach pewnego systemu rządów jest nienaturalniejsze. Póki Zola poprzestawał jeszcze na zadziergiwaniu pierwotnej osnowy i malował drapieżne instynkty prowincyonalnych karyerowiczów; póki wtajemniczał nas w życie Rougona, rozsadzanego przez ambicyę panowania, w filisteryzm wnętrza Paryża i spekulacye Saccarda lub zwyczaje heter wielkoświatowych, dopóty jeszcze rozumiemy, iż są to typy związane z pewną epoką stosunków politycznych, jako mikroby, rozmnażające się w jej toniach. Ale co z całem panowaniem Napoleona mają do czynienia takie obrazki rodzajowe, jak „Kartka miłości" i „Marzenie," taka potężna analiza świata artystycznego, jak „Dzieło"? Historya wielkich magazynów, psychologia włościaństwa i górników lub spustoszenia, szerzone przez pijaństwo, duchowość wielkiej kamienicy w zamożnej dzielnicy, nawet psychologia świata nierządu i gogów, wszystko to są zdarzenia i obrazy społeczne, niedające się zamknąć w granicach pewnego systemu rządów, chociażby posiadającego rysy najcharakterystyczniejsze. Może monarchia Bonapartego przyczyniła się do większego napięcia lub szybszego rozwoju tej lub innej strony życia społecznego, lecz swoją drogą opisywane wypadki wybiegają po za kresy sztucznie im postawione. Rządy są tylko lekkiem wzburzeniem na powierzchni, w głębi zaś wody dalej toczą się w kierunku, zależnym nie od wiatru, lecz sprężyn głębszych. Zola marzył o zostaniu epikiem czasów Badingueta — epikiem, który rozpocząwszy od pojedynczych bohaterów, zwrócił się do mas. Jął się pracy, hołdując zdawkowemu pojmowaniu, że życie społeczne jest podzielone na jasno wyodrębnione epoki, na początku których, jako drogoskazy, stoją nazwiska osób indywidualnych. Ku końcowi podjętego zadania, nabrał polotu i tworząc rzeczy coraz potężniejsze, zamienił się na epika ustroju mieszczańskiego. Talent jego trafiał powolnie na właściwą sobie drogę, rozmach jest coraz gwałtowniejszy, pojmowanie, wprawdzie nieświadome, wpływów otoczenia coraz głębsze.

Jeszcze gorszy los spotkał drugie założenie powieściopisarza francuskiego. Dziedziczność niewątpliwie obowiązuje i stronę duchową człowieka, ale w zgiełku życia nowoczesnego, gdy wpływy otoczenia tak silnie rozstrzygają o treści duszy, gdy rozstrój nerwowy, wywołany przez warunki bytu, niekiedy zupełnie przeinacza człowieka i wygórowywa instynkty kiedyindziej słabe — jest ona nikłą pajęczyną, ginącą dla oka w działaniu potęg gwałtowniejszych. Zola, zamierzając pisać historyę fizyologiczną rodziny, przystępował do dzieła, nieświadom własnego talentu. Opętany głośnemi podówczas teoryami o dziedziczności przymiotów moralnych, spoglądał na społeczeństwo jako na zbiór atomów, z których każdy postępuje wyłącznie według wymagań swojej natury, i które przypominają jeden drugiego, o ile nawzajem są powiązane wspólnością krwi. Wciąż rosnący talent postawił go przed wielkiemi zdarzeniami i zagadnieniami chwili obecnej. W miarę tego, jak coraz głębiej przenikał w fizyologię społeczną, potężniejący wątek powieści rwał wytknięte drogowskazy. Członkowie tej samej rodziny przesuwają się przed nami, jako bohaterowie cyklu Rougon - Macquartów, ale czytelnik puszcza to w niepamięć — kategorya społeczna zakrywa indywidualną, treść duszy, stworzona przez stosunki, tę, którą ktoś otrzymał w puściźnie po dziadach. Może Saccard czemś przypomina ojców, lecz drapieżność tego rzezimieszka giełdowego i jego chciwość użycia stanowią przymiot, właściwy rycerzom takiego znaku; może Mouret, kierownik wielkiego magazynu, jest krwią z krwi innych Mouretów, ale swoją drogą odnosimy wrażenie, że jest to wcielony mózg pewnej instytucyi— przedewszystkiem; może Anielka w „Marzeniu" odziedziczyła po kimś rysy swoje, lecz jakoś nie możemy się pozbyć myśli, że w takich samych warunkach każde inne dziewczę będzie tak samo skłonne do marzeń. To, co miało dostarczyć zasadniczego wątku cyklowi utworów, zamienia się na sztuczne, prawie nikłe spoidło, nawet nie sprawia efektu, innemi słowy, chybiło celu, jako środek artystyczny, bo zostało przyćmionem. Utwory, w których Zola porzuca perspektywę społeczną i pragnie uwydatnić stronę dziedziczności fizyologiczno-duchowej, należą do najsłabszych. „Człowiek zwierzę" jest pospolitą powieścią sensacyjną, której nie ratuje nienormalna postać bohatera, ani działające na nerwy opisy morderstw. Dr. Pascal, ta kwintesencya założenia, ta zwrotna perspektywa całej kroniki z punktu dziedzictwa fizyologicznego, jest czemś tak słabem, iż niewątpliwie przynosi ujmę talentowi Zoli. Natomiast „Ziemia," „Germinal," „Pot-Bouille," nawet „Dzieło," gdzie ów łącznik albo zaciera się w ogromie podłoża rzeczowego lub w szale opętania ideowego, należą do liczby dzieł, które Zoli wyrobią miejsce poważane wśród wzrastającego zastępu mistrzów powieści. Nowy to dowód, jak talent, nawet bardzo znaczny, bywa jednostronny: potężny umysł twórczy, który wydał epopeję społeczeństwa mieszczańskiego, pisze rzeczy, godne żaka, z chwilą, gdy bierze wątki, gdzie psychologia osoby pojedynczej, jej dusza imienna, jej przymioty osobiste mają być ogniskiem powieści.

Dziedziczność rodzinna miała wykazać doniosłość „eksperymentu" i „naturalizmu" w powieściopisarstwie — innych haseł, w imię których Zola spodziewał się stworzyć nową szkołę. Naturalnie nie dopiął tego, bo twórczość jest rzeczą nawskróś indywidualną, chodzi odrębnemi i osobistemi ścieżkami, bo wszelkie takie próby zradzają tylko sektę lub klikę naśladowców, umiejących odtworzyć błędy mistrza, lecz nigdy jego zalety, zwłaszcza mistrza, który dodatnie rysy swoje ujawnił na przekór własnym doktrynom. „Dokumenty," które zbierał, przyniosły mu pożytek, bo jeśli w analizie jaźni indywidualnej możemy puszczać wodze fantazyi, bylebyśmy mieli poczucie miary, to tam, gdzie chodzi o psychologię podłoża, wyobraźnia bywa spętaną. Zamiast przedmiotowości, niezbędnej w utworach tego rodzaju, zamiast spokoju epickiego, opowiadającego, lecz nie potępiającego, danoby nam przesądy klasowe. Szydzono z Zoli, że wącha pieczeń, zanim ją opisze. Dla mnie nie ulega wątpliwości, że takie studya nad ludźmi przyczyniły się do stworzenia arcydzieł jego i obezwładniły zdawkowy naturalizm pierwszego okresu, perspektywy dziedziczności i inne pęta, w które Zola dobrowolnie siebie uwikłał. Naturalizm ów nakazywał przedstawiać rzeczy tak, jak one istnieją — nie upiększać, ani nie osłaniać ich ideologią. Powieściopisarz francuski, stwarzając doktrynę swoją, miał jakby na myśli sławne wyrzeczenie Stendthala:

— „O Panie, książka jest zwierciadłem, które przechadza się po gościńcu. Odzwierciedla ono w waszem oku błękit nieba, to znowu brud galarni przydrożnej. Człowieka, niosącego w koszu zwierciadło, będziecie posądzali o niemoralność! Oskarżajcie raczej gościniec, na którym znajduje się galarnia."

Zola przechadzał się po ojczyźnie z takiem zwierciadłem. Że nie zamilczał o tem, czego inni nie chcieli widzieć; że nie ukrywał brudów, ani błota nie upiększał barwami tęczy; że śmiałą ręką dotykał najboleśniejszych ran społeczeństwa mieszczańskiego, wszystko są to wielkie zalety. Naturalizm w jego ręku stał się potężnym środkiem wywoływania efektów artystycznych. Ale zarazem wprowadził go na manowce, mnożąc niepotrzebne opisy i podrzędne szczegóły. Zresztą naturalizm, o ile uwydatnił się w jego utworach ze strony dodatniej, bynajmniej nie jest realizmem, tj., wiernem oddaniem rzeczywistości. Brak w nim rysów, nadających człowiekowi postać osobistą.

* * *

Chodziło nam o zrozumienie Zoli, przedewszystkiem zaś o zaznaczenie tego, co stanowi jego wielkość i co mu nadaje prawa do zajmowania jednego z pierwszych miejsc w rzędzie dzisiejszych mocarzów pióra. Nazwaliśmy go epikiem społeczeństwa mieszczańskiego. Pomiędzy powieściopisarzami nie zdołaliśmy wskazać ani jednego, który mógłby współubiegać się z nim o tę godność. Nie jest on artystą, który nawet rzeczy najbłahszo i bez treści umie przyoblec w tak wytworną formę, iż przykuwają uwagę. Nie posiada na swoje usługi melodyjnego języka, nie posługuje się pospolitemi środkami podniecania ciekawości. Rozdział za rozdziałem powtarza on pewien szczegół charakterystyczny; działające osoby występują, opisywane niezmiennie w tych samych wyrazach. Z niesłychaną cierpliwością gromadzi on drobiazgi, układa je w całość, aż wreszcie powstaje obraz, bądź co bądź przygnębiający swoją potęgą i wymową.

„Jedna z cnót Zoli — pisze Lemaitre— to świeżość niezmordowana i cierpliwa. Widzi on przewybornie rzeczy konkretne, całą stronę zewnętrzną życia i dla oddania tego, co widzi, posiada osobliwą zdolność: umie zatrzymać i nagromadzić większą liczbę szczegółów, niż jakikolwiek inny pisarz tej samej szkoły, a wszystko to spokojnie i chłodno, bez znużenia, ani niesmaku, dając każdej rzeczy tę samą wyraźną i surową wypukłość. Jedność każdego obrazu nie polega, jak u klasyków, na podporządkowaniu drobiazgów (zawsze nielicznych) całości, lecz na ich, rzekłbym, niewypowiedzianej jednobarwności. Artysta ten posiada osobliwą zdolność gromadzenia szczegółów w tym samym duchu. Buduje książkę, jak murarz mur, kładąc kamień na kamieniu — bez pośpiechu i bez przerwy... A ponieważ w tych utworach wszystko jest budowane w sposób szeroki i przeznaczone dla objęcia całości — z daleka, nie należy przeto urągać z pojedyczych zdań, lecz trzeba to brać, jak zostało napisane, tj. wielkimi ustępami i sądzić o wartości stylu na podstawie całkowitego wrażenia wywartego przez obraz. Wtedy przekonamy się, iż zbiór zdań, z których nie wszystkie są bez zarzutu, dają nam, w ostatecznym wyniku, obszerne a przygnębiające wrażenia rzeczy, iż ten styl grubiański, bez odcieni i nawet ścisłości, wła-

śnie nadaje się dzięki swej monotonności i licznym powtarzaniom, do godnego oddania wielkiej całości rzeczy zmysłowych."

K. R. Żywicki.

LITERATURA WŁOSKA.

Poezye Carducciego.

Utwory Carducciego rozbieraliśmy już kilkakrotnie. Dziś obieramy je za ilustracyę do naszych teoryj estetycznych, jak to niedawno uczyniliśmy z poezyami d'Annunzia. Wbrew wszystkim twierdzeniom metafizyki, a nawet filozofii pozytywnej, która chciałaby upatrywać w sztuce i w pięknie jako rys zasadniczy bezużyteczność, sądzimy, iż mają one charakter czysto utylitarny i w ten sposób wchodzą w ogólne zasady mechaniki społecznej. Ze stanowiska jednostki lub nawet oddzielnego pokolenia, charakteru tego nie sposób pochwycić, ale z punktu widzenia rasy staje się on oczywistym.

„Walka o miłość między geniuszem a tłumem stanowi główne źródło sztuki"—pisaliśmy niedawno na tem miejscu *). Istotnie, postęp biologiczny odbywa się nie w ten sposób, żeby natura wystawiała odrazu rasę wyższą, lecz w ten, iż w łonie rasy niższej pojawia się, dzięki krzyżowaniu lub jakimkolwiek innym warunkom naturalnym, jednostka o bardziej skoncentrowanej energii, która ma się stać twórcą i protoplastą rasy nowej. W tym celu musi ona odegrać rolę reproduktora. Ponieważ tłum na to bezpośrednio pozwolić nie może, więc natura osiąga ten cel pośrednio. Pewna część energii reproduktora zamienia się na piękno, które z jednej strony oślepia, ubezwładnia i rozbraja zazdrość tłumu męzkiego, a z drugiej wabi i przyciąga samice. Stąd ta siła olśniewająca, czarująca i magnetyczna piękna. Wywiera ono na nas ten sam wpływ, co wąż spojrzeniem na ptaka, ubezwładnionego i padającego w jego paszczę rozwartą. Bo czyż niema głębokiej ironii w tem, iż tłum broniący swych żon, córek lub siostr przeciw uroszczeniom jakiegoś Goethego, Heinego, Byrona, Munkaczego lub Gounoda, mającym nieświadomie na celu poprawienie rasy, prowadzi te żony i córki do teatru, na wystawy obrazów lub daje im powieści i poezye, co wszystko jest pośrednim sposobem wabienia i dąży do tegoż samego utylitarno-rasowego celu?

I w tem właśnie zawiera się cała wielkość sztuki, jej cel realny w ogólnej ekonomii społeczeństw.

Przy pewnym stopniu zwartości tłumu jest ona jedynym środkiem, zapewniającym trwałość geniuszu i postęp antropologiczny ludzkości. A ten postęp jest źródłem wszelkich innych: w rasie zawarte jest wszystko. Obniżenia rasy, tj. zaniku geniuszu, nie okupią żadne rozwoje bogactwa, ani żadne postępy instytucyj społecznych. Największe skarby, ani też najidealniejsze instytucye nie zrobią ze zwykłego papuasa Newtona — tak najdoskonalsza hodowla nie zamieni kartofla na pomarańczę.

Sztuka, poezya i wogóle piękno mają więc określone zadanie użyteczności: przy pewnych warunkach walki o miłość między geniuszem a tłumem tylko one mogą jeszcze pośrednio zapewnić postęp biologiczny. Zjawiają się one automatycznie, jako zwykłe zjawisko przemiany i energii, w dążeniu nieświadomem agregatów społecznych do *maximum* swej użyteczności — na zasadzie ogólnych praw mechaniki. Wszystkie nasze uczucia, myśli i czyny skierowane są zawsze ku temu celowi. Jesteśmy źdźbłami tego agregatu, które przy niesłychanej złożoności swoich ruchów wciąż są spolaryzowane ku temu biegunowi—ku największemu dobru społeczeństwa.

Otóż największem dobrem jest zachowanie ras wyższych — w braku świadomej antropotechniki sztuka tymczasowo wykonywa poniekąd jej rolę. Wiemy, iż potoki energii, tak wywiązane, zanim dobiegną do ostatecznego swego celu, po drodze wykonywają masę innych zadań cywilizacyjnych, w znaczeniu oświaty, obyczajowości, humanitaryzmu lub zabawy, ale wszystko to są zjawiska pośrednie i drugorzędne, wobec celów biologicznych sztuki.

Zaiste, sztuka uśmierza dzikie zwierzęta. Niema widowiska bardziej pociesznego, niż spoglądać na tłumy zazdrosnych mężczyzn, prowadzących swe żony, córki i siostry do teatru, gdzie one słuchają zaklęć miłosnych Gounoda, które jak trucizna subtelna przenikają w ich krew. A sam tłum męzki, błogo rozwalony, oszołomiony, olśniony spogląda na te czary wabiących samców. Przypomina to Kalchasa, który posyła Helenę z Parysem, przebranym za arcykapłana na Cytherę. Sztuka jest automatycznym wybiegiem natury, dzięki któremu tłum z błogim uśmiechem szczęśliwości pozwala na to, na coby nigdy otwarcie nie pozwolił. I dlatego rozumiem Tolstoja, który odrzuca wszelką sztukę. W jednej ze swych opowieści wypowiada on w formie alegorycznej myśl, iż woli chłopa, niż człowieka ucywilizowanego, drzewo—niż chłopa, kamień — niż drzewo. W swych ideałach jest on przedstawicielem tłumu we wszystkich dziedzinach, wrogiem geniuszu, wrogiem postępu biologicznego. Przy takich warunkach można i należy konsekwentnie odrzucać wszelkie piękno i wszelką sztukę. Dla tych jednak, co wierzą, iż postęp biologiczny jest dobrem, iż zachowanie geniusza jest warunkiem szczęścia samego tłumu, konieczność i użyteczność społeczna sztuki i piękna nie ulega żadnej wątpliwości. Niestety, pod ciśnieniem tłumu, przekraczającem granice normalne, geniusz może z czasem utracić poczucie swego naturalnego powołania: on na nie spoglądać będzie nawet ze wstrętem. A jednak tak potężną jest siła instynktów pierwotnych, iż poeta wytwarzać będzie piękno, tj. wabić samice, jakkolwiek to już traci dla niego właściwy swój sens. Tak człowiek korzysta z instynktu wiewiórki do zbierania orzechów, a pszczół — do zbierania miodu, jakkolwiek one już z owoców swej pracy nie korzystają, bo on wciąż im je wykrada. W ten sposób poeta staje się instrumentem, specyalistą dla wytwarzania piękna, z którego tłum skorzysta, zwiększając coraz bardziej zasób swych podmiotowych przyjemności, ale zmniejszając zarazem podmiotową użyteczność społeczną. Niema boleśniejszej komedyi, niż ta, którą tu opisujemy. Wszystkie dążenia natury w ten sposób odwrócone i spaczone zostają. Tłum zapewnia sobie całym systemem kłamstw nieświadomych, którym i geniusz ulega, jedyną rzeczywistą nieśmiertelność, którą nauka przyznaje, rozmnażaniem i zaśmieca świat swymi kretynami, natomiast geniuszowi obiecuje tę chimeryczną nieśmiertelność, która tylko chore dzieci zadowolnić może i która się nazywa sławą w potomstwie...

Kto jednak chce cokolwiek zrozumieć w poecie i geniuszu, musi go pojąć w jego formie czystej i naturalnej — reproduktora. Kto zaś powiada „reproduktor"— mówi zarazem „wódz," tj. jednostka o większem natężeniu energii, niż otaczający tłum i mająca dlatego w rozpodziale bogactw i władzy udział większy, niż inni członkowie stada. W tem większem napięciu żądzy, tj. miłości i głodu zawiera się wyjaśnienie nietylko piękna, którego źródłem jest geniusz, ale także jego zdolności syntetycznej. Niejednokrotnie wskazywaliśmy na to *), iż poezya, w jakiejkolwiekbądź dziedzinie się przejawia, jest jednoznaczna z syntezą. Otóż syntezę należy, zdaniem naszem, wyprowadzić z głodu, a raczej z asymilacyi, z trawienia. Jak wiadomo z fizyologii, faktem najpomyślniejszym, na którym życie polega, jest asymilacya pokarmów. Dotyczy to nietylko życia fizycznego, ale i duchowego, gdyż właściwie mówiąc, to ostatnie jest tylko jednym z przejawów tamtego. Bo na czem polega przyswajanie pokarmów? Na zmiażdżeniu ich zębami i rozpoznaniu ich smaku językiem — jest to analiza — a następnie na przetrawieniu, tj. przyswojeniu tak przygotowanych pokarmów — jest to synteza. Pojmowanie jest to jeden z przejawów procesu trawienia — obszernie zrozumianego, w zastosowaniu do energii biologicznej. Wszak powiadamy nawet o człowieku, który dobrze zrozumiał jakąś teoryę: „on to dobrze przetrawił." Gdy kucharka przynosi z targu zapasy, działalność jej polega na dwu procesach: naprzód oczyszcza jarzyny, mięso itd.— jest to analiza — a następnie łączy je w garnku — jest to synteza. Tak najwyższe funkcye ducha ludzkiego mają swe pochodzenie w drobnych procesach trawienia. Pożeranie bliźnich, hamowane ciśnieniem społecznem, zamieniło się z czasem na chęć panowania nad nimi, które także może być rozpatrywane jako odmiana procesu trawienia. Dlatego pojąć coś, znaczy nietylko przyswoić je sobie, ale panować nad niem. I dlatego powiadamy: „on panuje nad swym przedmiotem," o człowieku, który go zrozumiał dokładnie. Inaczej mówiąc, im większy jest głód, im większa chęć pożerania i panowania, im większe natężenie egoizmu, tem większą będzie potęga pojmowania i syntezy. Żeby być dobrym reproduktorem, trzeba oczywiście mieć głód potężny i dlatego w geniuszach czystych piękno idzie w parze z wielką zdolnością asymilacyi, syntezy, stanowiąc razem wzięte — poezyę. Gdy ludzie rasy niższej są w stanie porwać się tylko na jakiś przedmiot specyalny, aby go pojąć i przyswoić, ludzie, jak Goethe lub Shelley, porywają się na świat cały, pojmują go w jego całości i rozwoju, gniotą nim jak w piłkę, wysysają go, jak brzoskwinię.

I tych potężnych egoizmów nie wolno łamać, bo kto łamie większy egoizm, ten łamie zarazem i większą produkcyjność**). Zaiste, kto chce zrozumieć współczesnego geniusza i poetę, ten powinien sobie przedstawić pierwotnego wodza i zapładniacza. Tylko że jego energia pod ciśnieniem wiekowem stada została odpartą, pohamowaną, zawieszoną i skierowaną w kanały specyalne, wydrążone przez rozwój społeczny. Ale właściwa tajemnica poety lub artysty zawartą jest nie w jego języku, oku lub uchu, nie w specyalnym organie, lecz w najbardziej ukrytych procesach fizyologicznych, w jego miłości i głodzie. Człowiek jest to punkt dynamiczny, który z większą lub mniejszą siłą przyciąga ku sobie inne istoty żywe i materyę nieożywioną — na zasadzie tych samych praw ogólnych, które rządzą ciążeniem powszechnem w przyrodzie całej. Wszystkie zaś organy specyalne i ich funkcye, oko, które widzi, ucho, które słyszy, nawet mózg, który myśli, są tylko narzędziami specyalnemi, za pomocą których to przyciąganie się wywiera. W rezultacie wszechświat składa się tylko

*) *Prawda* nr. 28 z r. b.

*) *Prawda* nr. 31 z r. b.

**) Dla uniknięcia nieporozumień dodać należy, iż egoizmy, nieuzasadnione odpowiednią produkcyjnością, powinny być łamane bez miłosierdzia.

z materyi i energii, które podlegają ciągłym przemianom, na zasadzie jednego wspólnego prawa. Nietylko piękno, nietylko myśl, ale nawet i moralność nie jest wynalazkiem człowieka. One mają pochodzenie czysto kosmiczne. Czyny piękne, rozumne lub moralne odbywają się na zasadzie tych samych praw, na zasadzie których światło zamienia się na ciepło lub elektryczność, na zasadzie których księżyc obraca się koło ziemi i cały system słoneczny obiega przestrzeń.

Nikt lepiej z poetów współczesnych, niż Carducci, nie oddał tego charakteru boskiego i wiecznego energii, którą upostaciował w formie Szatana.

„W materyi, która nigdy nie śpi, król zjawisk, król kształtów,

„Sam tylko Szatan żyje! Obiera swe państwo w błyskawicy drgającej oka czarnego,

„Albo też w tęsknem, które stawia opór i ucieka, albo w żywem i wilgotnem, co nastaje i wyzywa.

„Błyszczy w krwi gorącej winogron, dzięki której radość bystra nie zamiera.

„Oddychasz, o Szatanie, w mych wierszach, gdy mi się wyrywają z łona... Poruszasz dusze, jak grom,

„Ku tobie idą tańce namiętne i chóry; ty rozniecasz pierwsze dziewicze miłości... cóż to więc znaczy, iż barbarzyński szał nazarejski spalił twe świątynie i rozproszył po ziemi marzenia Argosu?...

„Zrzuć twe więzy, o myśli ludzka i płoń i pal, otoczona ogniem! Materyo, wznieś się ku górze! Szatan zwyciężył!

„Piękny i wspaniały potwór się wyzwolił, przebiega oceany i ziemię,

„Dymiąc i buchając, jak wulkan, przebiega góry i doliny,

„Unosi się ponad otchłaniami, potem się kryje w pieczarach nieznanych, w drogach głębokich;

„Wreszcie pokazuje się. I nieprzezwyciężony, jak huragan z brzegu na brzeg rzuca swój krzyk,

„Przebiega, dobroczynny, na swym rydwanie ognistym.

„Żyj, Szatanie, buntowniku, potęgo mściwa Myśli,

„Ku tobie wznoszą się nasze kadzidła i modlitwy! Ty zwyciężyłeś Jehowę kapłanów."

Ten wiersz i myślą i natchnieniem jest może najlepszą rzeczą, którą Carducci napisał, pomimo całej swej emfazy. Ta *fureur sacree* poetów, w której rozsądna krytyka chciałaby upatrywać bodaj czy nie objaw chorobliwy, jest według nas świadectwem zdrowia. Tylko co społeczeństwo zrobiło z tego zapału? Zlituj się, Boże! Jak ze zwykłej, zdrowej, dzikiej róży można zrobić wspaniałą ozdobę naszych ogrodów, ale tylko kosztem jej płodności, zamieniając całą jej energię życiową na piękno listków, tak samo społeczeństwo swem wielowiekowem ciśnieniem coraz bardziej zamienia swych reproduktorów i wodzów na specyalistów piękna i syntezy umysłowej. Ale, właściwie mówiąc, pomimo całej różnicy odcieni, poeci i twórcy wszystkich narodów przedstawiają jeden typ wspólny i szukać go należy w wskazanym ich charakterze zdrowym i pierwotnym. On może z czasem tak dalece się zatracić, pod wpływem kultury społecznej, iż erotyka może u danego poety grać rolę drugorzędną albo nawet żadnej, ale to niczego nie dowodzi. Tak Carducci wielką część swych poezyj pisał na tematy polityczne i patryotyczne, kto jednak chciałby objaśnić powstanie i rozwój poezyi warunkami społecznymi, temu możnaby odpowiedzieć tak, jak to uczyniła pewna pani włoska względem Rousseau: „Lasciate le donne studia la mathematica." Warunki społeczne mogą być tylko powodem dla pewnej transformacyi energii w pisarzu, ale nie one są źródłem poezyi, lecz ta energia. Cała twórczość, do której ludzkość jest zdolna, zawartą jest w kapitale reproduktorów i wodzów, wytworzonym w czasach przedhistorycznych. Społeczeństwo może kapitał ten tylko zaoszczędzić lub roztrwonić, może całym systemem ciśnień, szczepień i krzyżowań, które w zupełności przypomina sztukę ogrodniczą, skierować energię twórczą swych rozpłodowców na naukę — w części jej syntetycznej — filozofię, sztukę lub poezyę, ale ono nowych sił twórczych wydać, ani też samo tworzyć nie jest w stanie, przynajmniej w takich rozmiarach, jak to geniusz czyni.

Uwydatnijmy to na pięknie. Jest ono pewną transformacyą energii biologicznej, odbywającej się w rozpłodowcu i mającą na celu wabienie samic, powstrzymywanych przez stado. Ale między członkami stada odbywa się także walka o samice i odpowiednia transformacya energii tylko w stopniu nieznacznym w porównaniu z reproduktorem. Raz już przyzwyczajenie przemiany energii na piękno (w odzieży, ruchach, słowach itd.) wytworzone zostało w celach płciowych, to transformacya ta potem już odbywać się będzie i w innych celach. Tak piękny wódz nietylko wabić będzie samice, ale działać będzie przyciągająco na tłum — gestami, słowem czy piórem — w celach politycznych i społecznych. Ale i w nim i w tłumie wrażliwość na piękno wytworzyło się początkowo w celach zupełnie innych. Tak samo w człowieku wytwarza się z czasem wrażliwość na piękno roślin i zwierząt, powstałe w tymże celu, i na piękno natury nieożywionej, która jest tylko harmonią w rytmach ogólnej siły ciążenia. Nasze poczucie piękna jest tylko dowodem, iż znajdujemy się w rytmie powszechnych praw natury, iż jesteśmy atomami, które się wahają w zgodzie z ruchami układu słonecznego. (Do sprawy tej powrócimy). Kwestya estetyki, również jak i wszelkie inne kwestye społeczne, nabierają kryształowej przejrzystości w świetle mechaniki. Działanie ciążenia powszechnego i prawo przemiany sił w zupełności wystarcza dla ich filozoficzno-naukowego wytłomaczenia. Człowiek nie podlega żadnym innym prawom, niż pozostała natura. Jest on tylko skupieniem energii biologicznej, która może być mniej lub więcej napiętą. W poetach i geniuszach napięcie to, wyrażające się siłą przyciągania, albo też odpychania, dochodzi do najwyższych stopni.

Dopóki wiedza specyalna nie znajdzie sposobów bezpośredniego mierzenia energii biologicznej, jak to już czyni względem energii kosmicznej np. ciepła, o krytyce ściśle naukowej mowy być nie może. Objaśnienia czysto socyologicznej twórczości oparte są na złudzeniach i na pozorach.

Dr. L. Winiarski.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

BYĆ ALBO NIE BYĆ.

(Garść uwag o teatrzykach letnich).

I.

„Żyć — czy też nie żyć? Ale jeżeli żyć, to cóż jest rzeczą szlachetnych: czy ze strzałą w piersi poddawać się miotaniom rozszalałego losu, czy też ruszać w pełnem uzbrojeniu na morze klęsk i odporności zwalczać burze przeciwności?"

Oto jest kwintesencya nietylko słynnego monologu Hamleta, lecz zarazem dumań dyrektorów trup prowincyonalnych, kiedy rozbijają obozy w ogródkach warszawskich na okres letnich występów.

Krytyk, który zrzekł się roli „improwizatora na zadany temat," a natomiast usiłuje nić społeczeństwa przewlec przez ucho igły sztuki, by się w ten sposób życie haftowało na cywilizacyjnym warsztacie ludzkości — nie wie zaiste, wróciwszy z ogródka, czy brać do ręki estetykę, czy socyologię, to znaczy: czy ma pisać o teatrzykach, czy o publiczności?

Gdyby krytyk ów był tylko estetykiem, rozdarłby może z oburzenia tak zwaną „szatę" i miotnąłby tak zwane „gromy" na głowy arendarzów sztuki dramatycznej; wykazałby może, iż jest bardzo subtelnym znawcą i nieugiętym arystokratą w dziedzinie piękna, ale dowiódłby zarazem, że jednostronność uczyniła go bardzo niesprawiedliwym w osądzaniu rezultatów nieraz nadludzkich wysileń, że zatem jako socyolog jest człowiekiem płytkim.

Przyznaję się, że ile razy spojrzę na biednego aktorzynę z prowincyi, który za kilkadziesiąt kopiejek od występu „odrzyna" swoją rolę, to czuję, że to brat-łata, który nietylko jak Zosia w „Dziadach," ale jak wszyscy poeci, artyści, muzycy i uczeni polscy, jednem słowem jak każdy idealista u nas:

Pośrodku pierzchliwej fali
Przez wieczne lecąc bezdroże,
Ani wzbić się pod niebiosa,
Ani dotknąć ziemi nie może...

Nielicznym wyjątkom udaje się przez głód, chłód i ciągły brak grosza przedrzeć jak przez gąszcz kolców i wydoskonalić się w swojej sztuce. Czyż może być mowa o jakiej takiej stopie wymagań, jeżeli teatrzyki na prowincyi grają sensacyjną nowość już na drugiem przedstawieniu przed pustemi krzesłami? Z jakąż tedy szkołą i z jakim dorobkiem stają przed nami w Warszawie? Czy można mieć na niedzielę ręce delikatne, jeżeli się przez cały tydzień prało i prasowało?

A jednak teatrzyki to robią próby, starają się o repertuar i walą głową w mur twardy, choć je potem porządnie ta głowa boleć musi. Trzy teatrzyki prowincyonalne, każdy na swój sposób, usiłowały promy swe z mielizn i mętów skierować na nurt zagadnień społecznych (Firulkes), zagadnień duszy ludzkiej (Samotni), zagadnień etycznych (Lygia).

Teatr Rozmaitości nawet się nie zarumienił...

Dyrektor teatru krakowskiego p. Pawlikowski miał się podobno wyrazić, że dla wystawienia „Samotnych" brak mu aktorów. Zdaje się, iż podobne pobudki wstrzymały go od wystawienia „Dzwonu zatopionego."

A teraz — wezwawszy logikę na pomoc — pozwolimy sobie na następującą uwagę.

Gdyby ktoś stanął przed Barcewiczem i powiedział mu: „Panie Barcewicz, może tam pan i zagra łataniny Paganiniego, bo to sprawa wygimnastykowanych palców pańskich, ale wara panu od Wagnera," to Barcewicz — już sam nie wiem — albo by ze skóry wyskoczył, albo zwaryował, w każdym jednak razie chwyciłby skrzypce i krzyknął: „spadłeś pan chyba z księżyca, kiedy nie wiesz, gdzie i kiedy grałem i jak grałem; ale ponieważ wątpisz o tem, czy mam duszę, to ci zagram takie rzeczy, które w Warszawie dopiero za lat kilka grać będę." I popłynąłby miód z jego szlachetnych, jak niebo głębokich skrzypiec... Inaczej widocznie dzieje się z naszymi artystami dramatycznymi. Obelga, rzucona przez p. Pawlikowskiego, nie jest znać dla nich obelgą; zarzut, że są niezdolni do odtworzenia pierwszych arcydzieł chwili bieżącej, nie wywołuje rumieńca na ich twarzy; mniemanie, że nie idą ręka w rękę z literaturą, nie obraża ich dumy. Inaczej bowiem obległiby

tłumnie reżyserye domagając się rehabilitacyi. Staraliby się może dowieść, że czytają, uczą się, studyują, że wybiegają po za ramy wymagań publiczności, że prowadzą tę publiczność a nie dają się przez nią prowadzić. Że przedewszystkiem mają duszę i że chcą być pierwszymi w swoim zawodzie.

Panowie artyści teatru krakowskiego i Rozmaitości, czy odpowiecie czynami na owe rzekome zarzuty p. Pawlikowskiego?

Twierdzą niektórzy, że Hauptman dla Warszawy za trudny. A czy to wy, artyści, nie wiecie, że to tylko od gry waszej zależy, aby Zawikłane stało się Przejrzystem, Subtelno-Porywającem, Ciężkie jak piórko geniuszu Lekkiem??

Nieszczęściem ogródkowych teatrzyków jest owa scena na wolnem powietrzu. Sztuki subtelniejsze muszą przepadać. Gdyby przełamano nareszcie uprzedzenia i pobudowano bodaj takie szopy, jak w bagateli, to jesteśmy głęboko przeświadczeni, że i rezultaty odpowiadałyby rezultatom, osiągniętym przez p. Wolowskiego, aczkolwiek teatr jego obrać sobie musiał siedzibę w bardzo niedogodnym punkcie miasta, aczkolwiek czas rozpoczęcia widowiska przypada na porę obiadową połowy widzów, a u drugiej połowy na chwilę, w której już się praca dnia skończyła, ale nie rozpoczął się jeszcze wieczorny wypoczynek.

Warszawy latem lekceważyć nie należy. Chociaż bowiem ucieka z jej rozpalonych murów jakie sześćdziesiąt tysięcy letników, bywają chwile, że nie można się docisnąć do kasy żadnego ogródka. Pustki zdarzają się tylko w czasie zimna lub niepogody. Przypatrywaliśmy się bacznie publiczności w czasie przedstawień i w międzyaktach, co nas doprowadziło do wniosku, że obawa widowni zamkniętej jest tylko bojaźliwem uprzedzeniem. Pierwszy ogródek, który widzów otoczy ścianami, wyrządzi przysługę sobie, publiczności i sztuce. Przecież duża większość publiczności nie słucha utworu przy kuflu, nie słucha jej również w ten sposób stojąca galerya, która aktorom zrywa płuca wołaniem ustawicznem: „głośniej!" Zresztą — p. Wolowski zamknął w tej sprawie dyskusyę, sprowadziwszy zagadnienie na tory praktycznego rozwiązania.

Pragniemy teraz rozpatrzyć repertuar owych ogródków.

Repertuar ów — to jak płaszcz dziadowski. Łata na łacie, szmata perkalu obok skrawka jedwabiu, wiedeńska rozpusta obok męczeństwa pierwszych chrześcian, głupstwo obok sensu. Naszywali na płaszcz swoje wzorki i Przybylski i Grabowski Ignacy i Zapolska i Grabowiecki — niektórym krytyka przypinała ośle uszy, innych wychwalała. Wiele, wiele dałoby się jeszcze dopowiedzieć i krytyce pomódz w owem poskramianiu pewnych Gaskonów piśmiennictwa, gdyby nie to, iż szkoda nam czasu, miejsca i czytelników na rozbiór przeróżnych lichot. Wystarczy nam do spełnienia naszego zadania, jeżeli zastanowimy się nad trzema sztukami, nad „Lygią," „Firulkosem" i „Samotnymi." Nawiasowo wspomnimy tylko o konkursowej sztuce Grabowieckiego p. t. „Na warszawskim bruku." Uwagę naszą ślemy jednak nie pod adresem autora, który słabe dzieciątko wydał na świat boży, lecz pod adresem teatru Lwowskiego, zaszczycającego to bezkrwiste biedactwo nagrodą. Jeżeli p. Grabowiecki został „między ślepymi jednookim królem," to chyba dzięki panom Hellerowi i Bandrowskiemu, którzy najwidoczniej urządzili konkurs „najmniejszych kalek." Ale puścimy im to w niepamięć za wystawienie „Dziadów." Wiemy aż nadto dobrze, z jakiemi przeciwnościami walczyć musi teatr Lwowski tam na miejscu, „u we Lwowi," więc „ze strzałą w piersi nie poddaje się miotaniom rozszalałego losu," kiedy takiemi arcydziełami „uzbrojony, wyrusza na morze klęsk i usiłuje odpornością zwalczać przeciwności."

(D. n.)

Andrzej Niemojewski.

W DALI.

Lublin. Okolice Frampola (pow. Zamojski) nawiedziła w ogromnej ilości brudnica-mniszka, motyl szkodliwy. Spustoszenia, jakie ta, prawdziwie leśna szarańcza, dzisiaj już zrobiła, pisze *Gazeta lubelska* — są przerażające. Wszystkie prawie stare drzewa są już na pół obumarłe, a młody lasek, znajdujący się tuż obok, zupełnie uschnięty. Przestrzeń zajęta najmniej wiorstowa; stopniowo mniszka posuwa się z zachodu na północ. W przeszłym roku mniszki w lasach miejscowych nie było, a przeszła ona prawdopodobnie w tym roku z sąsiedniej Austryi, gdzie olbrzymie szkody w drzewostanie wyrządziła. W Królestwie Polskiem dopiero po raz drugi spostrzegać się daje. — Zarząd nowej kolei Chełmsko-Tomaszowskiej mieścić się będzie w Warszawie, posady zaś biurowe obejmuje wielu dawniejszych pracowników b. kolei Terespolskiej i Nadwiślańskiej, obeznanych z biegiem spraw i czynności kolejowych. Wydziały budowy mieścić się będą w Chełmie, Zamościu, Lublinie i Tomaszowie; w przyszłości zaś jest zamiar pomieszczenia dyrekcyi w Lublinie, dokąd z Zamościa przez Szczebrzeszyn i Turobin dojdzie odnoga, która dla przewozu, zwłaszcza tranzytowego, towarów zagranicznych, ma większe znaczenie, aniżeli linia Zamojsko-Chełmska. Główne warsztaty i centralne depo mieścić się będą na środku drogi, w Zamościu, skąd kolej rozchodzić się ma w trzy strony: do Chełma, Bełżca galicyjskiego przez Tomaszów i do Lublina. „Prawdopodobnie, jak przypuszcza *Gaz. Pols.*, pomiędzy Tomaszowem a Bełżcem wytworzy się z powodu różnicy toru komunikacya, jaka istnieje pomiędzy Iłowem a Mławą lub pomiędzy Radziwiłłowem a stacyą pograniczną kolei galicyjskich, tj. że na przestrzeni, oddzielającej dwie pograniczne stacye: tutejszą i galicyjską, przebiegać będą równolegle dwa tory: szeroki i normalny, aby stosunek wymiany towarów w przeładunku był najzupełniej ujednostajniony. Pasażerowie, jadący z Królestwa, bez potrzeby przesiadania się, po załatwieniu formalności paszportowych, zajeżdżać będą wprost do Bełżca, a odwrotnie znów pasażerowie z Galicyi wjeżdżać będą w lwowskich pociągach do Tomaszowa, gdzie załatwiane będą formalności paszportowo-celne, obowiązujące w państwie Rosyjskiem."

Wołyń. *Kijewlanin* mówiąc o własności ziemskiej w gub. wołyńskiej, podaje kilka liczb, zaczerpniętych ze sprawozdań urzędów powiatowych, a te ostatnie opierały się na deklaracyach piśmiennych, sporządzonych przez samych właścicieli ziemskich. Według tej urzędowej statystyki oddzielnych majątków ziemskich w rękach prywatnych było w r. 1897 ogółem 12,827. Biorąc każdy z 12 powiatów pojedynczo, rzecz przedstawia się tak:

Powiaty:	Ogólna liczba majątków:	W rękach polskich:
Żytomierski	2640	141
Staro-Konstantynows.	434	136
Dubieński	1392	109
Krzemieniecki	444	116
Łucki	820	135
Włodz. Wołyński	629	154
Kowelski	427	82
Rowieński	968	81
Nowogr. Wołyński	1016	105
Owrucki	3002	63
Ostrogski	584	110
Zasławski	466	69

„Tak znaczna przewaga własności prywatnej na rzecz osób pochodzenia rosyjskiego — dodaje *Kijewlanin* — traci znaczenie swoje, gdy się zestawi majątki jednej i drugiej narodowości pod względem obszaru. Za sprawą kolei dziejowych najlepsze grunta i najrozleglejsze przestrzenie, dochodzące często do kilkudziesięciu tysięcy dziesięcin, stanowią własność osób pochodzenia polskiego."

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. *Now. Wr.* donosi, iż komisya kodyfikacyjna opracowała już projekt ustawy o oddzielnych paszportach dla małżonków.

— W Lipnie z powodu otwarcia kuratoryum trzeźwości powstał projekt urządzenia odczytów popularnych z zakresu hygieny.

— Kasa miejska w Mławie przeznaczyła na rzecz kuratoryum trzeźwości 750 rb. Członkowie komitetu mławskiemu zebrali na pierwszem posiedzeniu pomiędzy sobą 272 r. W Prasnyszu naczelnik powiatu zaprosił do współudziału w pracy przedstawicieli inteligencyi miejscowej i wyraził nadzieję, że przy jej pomocy będzie osiągnięty główny cel kuratoryów, tj. „rozniecanie światła i zwalczanie ciemnoty."

— W Medyolanie Verdi stworzył przytułek dla muzyków na 100 osób.

— Staraniem osób prywatnych w setną rocznicę urodzin Puszkina ma być otwarte w Petersburgu wielkie Muzeum literackie imienia poety. Mieścić ono będzie wszystko, co dotyczy Puszkina oraz bibliotekę poetów rosyjskich wogóle.

— Generał-gubernator warszawski pozwolił na otworzenie w Czerniakowie przytułku oraz stałego domu zarobkowego dla dziewcząt ubogich.

— W Stanisławowie (Galicya) uwięziono bandę handlarzy żywego towaru, złożoną z sześciu osób.

— W Brodach odsłonięty będzie pomnik Korzeniowskiego 11 września.

— Celem usunięcia zwłoki w otwieraniu przez kuratorya trzeźwości herbaciarni i tanich kuchni, ministeryum skarbu zawiadomiło izby skarbowe, że zakłady te, jako instytucye dobroczynne, niemające charakteru handlowego, mogą być utrzymywane bez opłaty patentów. Z tego powodu izby skarbowe mogą zezwalać kuratoryom trzeźwości na otwieranie publicznych herbaciarni i kuchni bez wykupywania jakichkolwiek patentów i bez wyjednywania przytem za każdym razem specyalnego zezwolenia ministeryum skarbu. (*Warsz. Dniew*).

Szkoły. Do d. 20 sierpnia złożono w kancelaryi politechniki warszawskiej przeszło 500 podań, tym czasem miejsc na wszystkich trzech wydziałach jest o połowę mniej. Według zapewnienia *Kuryera War.*, tylko 10 kandydatów będzie przyjętych bez egzaminów; 240 musi się poddać egzaminowi konkursowemu. Komisya egzaminacyjna utworzona będzie z nauczycieli gimnazyów warszawskich.

— Wyższe zakłady naukowe w Petersburgu mogą przyjąć w r. b. o 656 słuchaczów więcej, niż w r. z., mianowicie: instytut technologiczny lub techniczy 175, inżenierów komunikacyi 115, górniczy 80, inżenierów cywilnych 50, elektrotechniczny 40.

— Według zapewnienia *Birż. Wied.*, procent Żydów w uniwersytecie odeskim ma być podniesiony z 10% do 25% ogółu słuchaczów.

— W Kijowie czynione są starania o otworzenie instytutu lekarskiego dla kobiet. W tym celu rozpoczęto zbieranie ofiar publicznych.

— W częstochowskiem gimnazyum męzkiem podniesiono opłatę wpisową z 45 do 50 rubli rocznie.

Dobroczynność. Powstaje sala zajęć dla chłopców od 7 do 14 lat życia, pozostawionych bez zajęcia i opieki starszych. Zakład ten dla 100 chłopców otwarty będzie jesienią w Warszawie.

Koleje i komunikacye. Ostatecznie postanowiono kolej Kaliską budować kosztem skarbu. Przejdzie ona przez Sieradz i Łask, cała jej długość wyniesie wiorst 113.

— Ministeryum komunikacyi—jak donosi *Warsz. Dniewnik* — poruszyło ważny projekt przekopania kanału od Narwi pod Serockiem ku Wiśle pod Warszawą. Kanał ten, 26 wiorst długi, zaopatrzony będzie w śluzy zarówno pod Warszawą, jak pod Serockiem, zabezpieczony pod względem wody przez urządzone na całej jego długości baseny. Roboty powierzono inż. Nikolskiemu.

— Pomiędzy Piotrkowem a Kaliszem otwarto komunikacyę samochodową.

Wystawy i zjazdy. D. 1 września w Kielcach otwarta będzie wystawa przemysłowo-rolnicza.

— Jarmark w Niższym Nowogrodzie nie odznacza się w tym roku ożywieniem, ani też licznymi obrotami handlowymi, które w latach poprzednich były dokonywane. Dzienniki rosyjskie przypuszczają nawet, że jarmark ten z czasem upadnie zupełnie, do czego przyczynią się niewątpliwie tak naturalne warunki, jak rozwój sieci kolei żelaznych i komiwojażerowie.

— Zjazd buchalterów odbędzie się wkrótce w Moskwie.

— Międzynarodowy kongres rolniczy odbędzie się pomiędzy 12 a 17 września w Lozannie. Obejmuje siedem sekcyj: ekonomii rolniczej, kredytu rolnego, statystyki ubezpieczeń rolnych, wykształcenia agronomicznego, monopolu wódczanego itd. Komitet organizacyjny zwrócił się do ministeryum rolnictwa w Petersburgu z prośbą o podanie do wiadomości rolników w państwie rosyjskiem, że członkowie kongresu będą korzystali z bezpłatnego przejazdu kolejami szwajcarskiemi, że otrzymają drukowane sprawozdanie z czynności kongresu itd.

Pożary. W Kozienicach, mieście powiatowem gub. Radomskiej, spaliło się 40 domów i 2 synagogi. Około 200 rodzin pozostało bez dachu i chleba. Straty 60,000 rs.

Katastrofa. We Francyi na linii kolei Zachodniej między stacyami Saint-Marks de Fresnes i Lineux wykoleił się pociąg. Siedem osób zginęło, 54 ciężko ranione.

Zmarli. Karol Zeller, w Baden pod Wiedniem, kompozytor muzyczny w zakresie operetkowym. Wielką popularność wyrobiły mu: „Ptasznik z Tyrolu" i „Sztygar."



Dzieło dr. J. Dallemagne'a

Człowiek zwyrodniały,

które dołączaliśmy zeszytami w dodatkach Prawdy, wyszło w osobnej książce. Cena ogromnego tomu (742 str.) wynosi tylko dwa ruble bez przesyłki.

W redakcyi *Prawdy* nabyć można książkę

ZENONA PIETKIEWICZA

p. t.:

Szkice Społeczne

I. Nędza i miłosierdzie. II. Hygiena i życie. III. Kobieta. IV. Samobójstwo).

Str. 203.

Cena rs. 1 kop. 20, z przesyłką rekomendowaną rs. 1 kop. 40.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca dr. Gl. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 14 Августа 1898 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka, Nr. 8.